



Fiodor Dostojewski

---

# BIAŁE NOCE

„Weź - PRZECIYTAJ - Uwolnij TĘ!

Weź mnie ze sobą!

Uwolnij książkę!

bookcrossing.pl



Cześć. Jestem wolną książką, a Ty - moim nowym czytelnikiem. Jak chcesz - weź mnie ze sobą i przeczytaj. Jeśli zarejestrujesz mnie na stronie [www.bookcrossing.pl](http://www.bookcrossing.pl) (wpisując poniższy numer) dowiedz się, jaką podróż odbyłam, zanim trafiłam do Ciebie. Dodaj tam też coś od siebie, a potem uwolnij mnie, żebym mogła znaleźć kolejnego czytelnika.

BIP

NN - 5906

Dwa opowiadania Dostojewskiego zawarte w tomie to prawdziwe arcydzieła. W *Białych nocach* występuje charakterystyczna dla wczesnej twórczości pisarza postać naiwnego marzyciela pogrążonego w wydumanym przezeń świecie, którego iluzoryczność zostaje w końcu brutalnie obnażona. *Łagodna* to studium psychologiczne mężczyzny, którego żona popełniła samobójstwo. Wzburzony — usiłuje uporządkować myśli i dociec, dlaczego tak się stało.



Fiodor Dostojewski, pisarz rosyjski, ur. 30 X 1821 w Moskwie, zm. 28 I 1881 w Petersburgu. Ukończył Wojskową Szkołę Inżynierijną w Petersburgu w 1843 r. Wcześniej jednak porzucił pracę w wyuczonym zawodzie i od 1844 r. całkowicie poświęcił się literaturze. W roku 1846 wydał pierwszą powieść *Biedni ludzie* (wyd. poL 1928), przyjętą entuzjastycznie przez krytykę. Twórczość F. Dostojewskiego podzielić można na dwa okresy: lata czterdzieste, do czasu zesłania na 10-letnią katorgę za działalność opozycyjną, oraz etap twórczości dojrzałej w latach sześćdziesiątych – siedemdziesiątych. Młodzieńcze utwory Dostojewskiego zdradzają w nim kontynuatora M. Gogola. W tym okresie powstało wiele nowel i opowiadań, z których na szczególną uwagę zasługują *Białe noce* (1848, wyd. poL 1902). Ale prawdziwe dzieła jego życia powstały później. Należą do nich: *Zbrodnia i kara* (1866, wyd. poi. 1887 - 88), *Gracz* (1866, wyd. poL 1922), *Idiota* (1868 - 69, wyd. poi. 1909), *Biesy* (1871 - 72, wyd. poi. 1908), *Bracia Karamazow* (1879 - 80, wyd. poL 1913). Dostojewski jak nikt przed nim ukazał moralną nędzę ludzką nie degradując równocześnie wartości człowieka. Myśl przewodnią swej twórczości zaważył w zdaniu: „Najnędzniejszy i ostatni człowiek jest jeszcze człowiekiem i nazywa się twoim bratem”.

Fiodor Dostojewski

Białe noce

Fiodor Dostojewski

# Białe noce

Opowiadania

Tłumaczyli

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI  
GABRIEL KARSKI

WEZ - PRZECYTAJ - OWOZNIA!  
www. bookcrossing. pl , B/P: NN - 5906



Książka i Wiedza • 1986

Tytuł oryginału  
BIEŁYJE NOCZI  
KROTKAJA

Przypisy do opowiadania „Łagodna”  
WANDA JESIONOWSKA

Ilustracja na okładce i stronie tytułowej]  
ANNA MALANOWSKA

## Białe noce

Powieść sentymentalna  
Ze wspomnień marzyciela

ISBN 83-05-11684-0

...A może po to **był** stworzony,  
**Ażeby** chociaż **krótką chwilę**  
**Przebyć** w bliskości **twego serca?**...  
L. Turgieniew\*

---

\* Niedokładny cytat z wiersza Iwana Turgieniewa  
„Kwiatek”, 1843.

## Noc pierwsza

Była cudowna noc, taka noc, drogi czytelniku, jaka może być tylko wówczas, gdy jesteśmy młodzi. Niebo było takie gwiaździste, takie jasne, że spojrzałszy na nie, mimo woli trzeba było zapytać siebie: czy naprawdę pod takim niebem mogą żyć różni zagniewani i niezadowoleni ludzie? To również młodzieńcze pytanie, drogi czytelniku, bardzo młodzieńcze, ale niech je Bóg jak najczęściej zsyła twojej duszy!... Mówiąc o różnych niezadowolonych i zagniewanych jegomościach, musiałem sobie przypomnieć i o własnym przykładowym sprawowaniu się przez cały ten dzień. Od samego rana zaczęło mi dokuczać jakieś dziwne przygnębienie. Wydało mi się nagle, że mnie, samotnego, wszyscy opuszczają i że wszyscy odwracają się ode mnie. Naturalnie, każdy ma prawo zapytać: kim to ci wszyscy? Bo przecież już osiem lat mieszkam w Petersburgu i nie umiałem zatrzymać prawie żadnej znajomości. Ale po co mi znajomości? I tak znam cały Petersburg; oto dlaczego wydało mi się, że wszyscy mnie porzucają, gdy cały Petersburg ruszył z miej-

sca i nagle wyjechał na letnisko. Samotność zaczęła mnie przerażać i całe trzy dni włóczyłem się po mieście w głębokim przygnębieniu, absolutnie nie rozumiejąc, co się ze mną dzieje. Czy pójdę na Newski, czy pójdę do parku, czy włóczę się po bulwarze — ani jednej twarzy spośród tych, które przyzwyczailem się spotykać na tym samym miejscu, o określonej godzinie, przez cały rok. Oni mnie, naturalnie, nie znają, ale za to ja ich znam. Znam ich dobrze; prawie że nauczyłem się na pamięć ich twarzy — i cieszę się, gdy są weseli, a smutno mi, gdy się chmurzą. Prawie że zawarłem przyjaźń z pewnym staruszkiem, którego codziennie, o określonej godzinie spotykam na Fontance. Mina pełna godności, zamysłona: wciąż mruczy pod nosem i macha lewą ręką, a w prawej ma długą, sękatą laskę ze złotą gałką. Nawet mnie zauważał i ma dla mnie wiele sympatii. Jeśli się zdarzy, że nie będę o określonej godzinie w tym co zawsze miejscu na Fontance, jestem pewny, że go to przygnębi. Oto dlaczego obaj omalże się sobie nie kłaniamy, zwłaszcza gdy jesteśmy w dobrym usposobieniu. Niedawno, gdy nie widząc się przez dwa dni, spotkaliśmy się na trzeci, obaj byliśmy już gotowi chwycić za kapelusze, ale na szczęście w porę spostrzegłszy się, opuściliśmy ręce i z uczuciem życzliwości przeszliśmy obok siebie. Zapoznałem się również i z domami. Gdy

idę, każdy z nich jakby wybiegał na moje spotkanie, jakby patrzył ina mnie wszystkimi oknami i omal nie mówił: „Dzień dobry! Jak się pan miewa? I ja, dzięki Bogu, jestem zdrow, a w maju przybędzie mi piętro”. Albo: „Jak pańskie zdrowie? Jultro będą mnie odnawiać”. Albo: „Ach, omal nie spaliłem się i byłem w wielkim strachu”, itd. Mam wśród nich ulubieńców i bliskich przyjaciół: jeden z nich ma zamiar tego lata leżeć się u architekta. Umyślnie będę co dzień przychodzić, żeby mu się co złego nie stało, niech go Pan Bóg ma w swej opiece!... Ale nigdy nie zapomnę historii pewnego prześlicznego jasnoróżowego domku. Był to taki milutki, murowany domek, tak uprzejmie spoglądał na mnie, tak wyniośnie spoglądał na swych niezgrabnych sąsiadów, aż mi serce skakało z radości, gdy mi się zdarzyło przechodzić obok niego. Nagle, iż wczorajem tygodniu, idę ulicą i gdy spojrzałem na przyjaciela — słyszę żałosny okrzyk: „Maluję mnie żółtą farbą!” Łotry! Barbarzyńcy! Nie oszczędzili niczego: ani kolumn, ani gzymów, i przyjaciel mój zżółkł jak kanarek. Omal nie miałem wylewu żółci z tego powodu — i dotychczas jeszcze brak mi sił, żeby się zobaczyć z moim zeszpeconym biedakiem, którego pomalowali na kolor Państwa Niebieskiego \*.

\* Mowa tu o kolorze żółtym, będącym do 1912 r. barwą chińskiej flagi narodowej, na której widniał smok.

A więc rozumiesz, czytelniku, w jaki sposób zapoznałem się z całym Petersburgiem.

Powiedziałem już, że przez całe trzy dni dręczył mnie niepokój, zanim odgadłem jego przyczynę. I na ulicy źle się czułem (tego nie ma, tamtego nie ma, ów gdzieś się podziałał), i w domu byłem nieswoj. Przez dwa wieczory myślałem: czego mi brakuje w moim kącie? Dlaczego tak źle się w nim czuję? I bezradnie oglądałem zielone, zakopcone ściany, sufit zasnuty pajęczyną, którą Matrona hodowała z dużym powodzeniem, przypatrywałem się wszystkim meblom, oglądałem każde krzesło, myśląc, czy przypadkiem nie tu leży przyczyna złego (bo jeżeli u mnie choćby jedno krzesło stoi nie tak, jak stało wieczorem, czuję się nieswojo), spoglądałem na okno, i wszystko na próżno... nie było mi ani trochę lżej! Wpadłem także na pomysł zwołania Małtriony i z miejsca zrobiłem jej ojcowską wymówkę o pajęczynie i w ogóle o nieporządek; ale ona tylko popatrzyła na mnie ze zdziwieniem i odeszła, a pajęczyna wisi sobie szczęśliwie dotychczas. W końcu dopiero dziś rano domyśliłem się, o co chodzi. E! Przecież oni zmykają przede mną na letnisko! Przepraszam za trywialne wyrażenie, ale nie mogłem się zdobyć na inne... bo przecież wszystko, co było w Petersburgu, albo wyjeżdżało, albo już wyjechało na letnisko; ibo przecież każdy czcigodny jegomość o solidnej powierzchowności wynaj-

mujący dorożkę, w oczach moich stawał się czcigodnym ojcem familii, który po swoich codziennych zajęciach udaje się na łono rodziny, na letnisko; bo przecież każdy przechodzień miał teraz szczególny wygląd, który omalże nie mówił każdemu: „My, proszę państwa, jesteśmy itutaj tylko tak, chwilowo, a za dwie godziny wyjedziemy na letnisko”. Jeśli otwierało się okno, w które najpierw bębnili delikatne, białe jak cukier paluski, i wychylała się główka ładnej dziewczyny, wzywającej przekupnia roznoszącego doniczki z kwiatami — natychmiast wydawało mi się, że kwiaty kupuje się tylko tak sobie, bynajmniej nie po to, żeby cieszyć się wiosną i kwiatami w miescie w dusznym mieszkaniu, lecz dlatego, że już niedługo wszyscy przeprowadzą się na letnisko i kwiaty zabiorą ze sobą. A oprócz tego zrobiłem już takie postępy w tym nowym, szczególnym rodzaju odkryć, że mogłem z całą dokładnością tylko na podstawie wyglądu określić, na jakim letnisku kto mieszka. Mieszkańcy Wyspy Kamiennej i Aptekarskiej albo drogi Peterhofskej odznaczały się wyszukaną wykwitornością manier, eleganckimi letnimi ubraniami i ślicznymi ekwipażami, w których przyjeżdżali do miasta. Obywatele Pargołowa i dalej położonych letnisk od pierwszego wejrzenia „imponowali” rozsądkiem i statycznością; ten, co zamieszkał na Wyspie Krestowskiej, wyróżniał się nieodmiennie wesołym wy-

glądem. Czy zdarzało mi się spotkać długą procesję woźniców, leniwie idących *T. lejcam* w rękach obok wozów naładowanych stosami najrozmaitszych mebli, stołów, krzesełek, kanap iteTeckich i nietureckich i innym domowym dobytkiem, na których oprócz tego wszystkiego nieraz siedziała na samym szczycie chuderlawa kucharzka, strzegąca państwa mienia jak oka w głowie; czy spoglądałem na ciężko naładowane sprzętem domowym łódki sunące po Newie albo po Fontance w stronę Czarnej Rzeczki albo wysp \* — wozy i łódki udzieśięciołotniały, ustokroitniały mi się w oczach: zdawało się, że wszystko ruszyło i pojechało, wszystko przeprowadzało się całymi karawanami na letniska; zdawało się, że całemu Petersburgowi grozi opustoszenie, toteż w końcu zaczęło mi być wstydu, przykro i smutno; stanowczo nie miałem ani gdzie, ani po co jechać na letnisko. Gotów byłem iść za każdym wozem, odjechać z każdym solidnie wyglądającym jegomościem, który wynajmował dorożkę; ale nikt, dosłownie nikt mnie nie zapraszał, jak gdyby o mnie zapomniano, jak gdybym był dla nich naprawdę obcy!

Chodziłem dużo i długo, tak że już, swoim zwyczajem, zdążyłem zupełnie zapomnieć, gdzie jestem, gdy nagle spostrzegłem, że znalazłem się

\* Mowa tu o wyspach u ujścia Newy, ówcześnie miejsu letniskowym.

przy rogatce. Natychmiast poweselałem i przeszedłem szlaban, ruszyłem między obsiane pola i łąki, nie byłem już zmęczony, czułem tylko całą swoją istotą, że jakiś ciężar spada mi z serca. Wszyscy przejeżdżający spoglądali na mnie z taką sympatią, że doprawdy omal się nie kłaniali; wszyscy byli tacy z czegoś zadowoleni, wszyscy, co do jednego, palili cygara. I ja byłem zadowolony tak, jak mi się to nigdy nie zdarzało. Jak gdybym się nagle znalazł we Włoszech — tak silnie podziałała przyroda na mnie, na pół chorego mieszkańców, którego omal nie zadusiły miejskie mury.

Jest coś nieopisanie wzruszającego w naszej petersburskiej przyrodzie, gdy z nadaniem wiosny okaże nagle całą swą moc, wszystkie dane jej z nieba siły, pokryje się liśćmi, ubierze się, ubawi kwiatami... Jakoś dziwnie przypomina mi tę wychudłą i chorą dziewczynę, na którą spogląda się czasem z litością, czasem z jakąś współczującą sympatią, a niekiedy po prostu nie dostrzega się jej, lecz która nagle, na chwilę, jakoś nieoczekiwanie staje się w niepojęty sposób cudownie piękna, a wówczas, zachwyceni, oczarowani, mimo woli zadajemy sobie pytanie: jaka moc sprawiła, że te smutne, zamyszone oczy błyszczą takim ogniem? Co było przyczyną, że te blade, wychudłe policzki okryły się rumieńcem? Co przydało namiętności tym delikatnym rysom? Dlaczego ita

pierś tak faluje? Co tak niespodzianie przydało siły, życia i piękna rysom biednej dziewczyny, co wywołało na jej twarzy, blask tej radości, co ożywiło ją tym wesołym skrącym się śmiechem? Rozglądamy się wokoło, szukamy kogoś, czegoś się domyślamy. Lecz chwila mija i może już jutro zauważymy znów to zamyślone i roztargnione spojrzenie co dawniej, tę bladą twarz, tę pokorę i bojaźliwość w ruchach, a nawet skruchę, nawet ślad jakiejś dręczącej troski i goryczy z powodu owej chwili zapomnienia... I żał nam, że tak szybko, tak bezpowrotnie uwiedło chwilę tylko trwające piękno, że tak zwodniczo i niepotrzebnie zabłysło przed nami — żał dlatego, że nagle nie było czasu, aby je pokochać...

A jednak moja noc była lepsza niż dzień! Oto jak było.

Wróciłem do miasta bardzo późno i biła już dziesiąta, gdy zbliżyłem się do domu. Droga moja wiodła przez bulwar nad kanałem, gdzie o tej porze nie spotyka się żywej duszy. Co prawda, mieszkam w najbardziej oddalonej dzielnicy. Szedłem i śpiewałem, bo kiedy jestem szczęśliwy, koniecznie muszę sobie coś mruczeć, jak zresztą każdy człowiek szczęśliwy, który nie ma ani przyjaciół, ani dobrych znajomych i w radosnej chwili nie może z nikim podzielić się swoją radością. Nagle zdał się mi się coś zupełnie nieoczekiwaneego.

Na uboczu, przy balustradzie kanału, stała kobieta; oparłszy się łokciami o poręcz, bardzo uważnie patrzyła w mętną wodę. Miała na sobie mielitki żółty kapelusik i kokieteryjną czarną mantylkę. „To ipanna, i z pewnością brunetka” — pomyślałem sobie. Zdaje się, że nie słyszała moich kroków, nawet się nie poruszyła, gdy przeszedłem obok niej, tłumiąc oddech, z mocno bijącym sercem. „Dziwne! — pomyślałem — widocznie zamyśliła się nad czymś” — i nagle stanąłem jak wryty. Usłyszałem, głucho łkanie. Tak! Nie myliłem się: dziewczyna płakała; po chwili znów usłyszałem szlochanie. Mój Boże! Aż mi się serce ścisnęło. I chociaż jestem taki nieśmiały wobec kobiet, ale to była taka chwila!... Wróciłem, podszedłem do niej i z pewnością powiedziałbym: „Pani!”, gdybym nie wiedział, że to odezwanie się było już tysiąc razy użyte we wszystkich rosyjskich powieściach z życia wyższych sfer. To tylko mnie powstrzymało. Ale gdy szukałem odpowiedniego słowa, dziewczyna ocknęła się, obejrzała, spostrzegła moją obecność, spuściła oczy i przesliźnęła się obok mnie po bulwarze. Natychmiast ruszyłem za nią, ale ona domyśliła się i przeszła na przeciwległą stronę. Nie śmiałem przejść przez ulicę. Serce mi biło jak schwytanemu ptakowi. Nagle pewien przypadek przyszedł mi z pomocą.

Po drugiej stronie ulicy, niedaleko od mojej nieznajomej, pojawił się nagle jegomość we fra-

ku, w poważnym wieku, lecz raczej niepoważnego wyglądu. Szedł chwiejnym krokiem, tuż pod ścianami domów. Dziewczyna zaś szła jak strzała, spiesznie i bojaźliwie, jak w ogóle chodzą wszystkie dziewczęta, które nie chcą, żeby im ktoś w nocy zaproponował odprowadzenie do domu, i, naturalnie, zataczający się jegomość nigdy by jej nie dopędził, gdyby moje przeznaczenie nie natchnęło go podstępem. Nagle, nie mówiąc nikomu ani słowa, ów jegomość zrywa się, pędziicotchu, biegnie i zrównuje się z moją nieznajomą. Szła jak wiatr, ale zataczający się jegomość dopędzał ją, dopędził... dziewczyna krzyknęła — i... błogosławie los za wspaniały, sękaty kij, który wówczas znalazł się w mojej prawej Tece. W jednej chwili byłem już po przeciwległej stronie ulicy, w jednej chwili nieproszony jegomość zrozumiał, o co chodzi, przyjął do wiadomości nieodpartą rację, zamilkł, pozostał w tyle i dopiero gdyśmy już byli bardzo daleko, zaczął dość energicznie protestować. Lecz do nas ledwie dobiegły jego słowa.

— Niech mi pani da rękę — powiedziałem do mojej nieznajomej — to on już się nie ośmieni nas zaczepić.

Milcząc podała mi rękę, jeszcze drżąca ze wzruszenia i stachu. O nieproszony jegomościu! Jakże ci byłem wdzięczny w owej chwili! Ukradkiem spojrzałem na nią: była bardzo milutka i brunet-

ka — zgadłem; na jej czarnych rzęsach jeszcze błyszczały łezki niedawnego przestrachu albo poprzedniego zmartwienia — nie wiem. Lecz na ustach już pojawił się uśmiech. Również spojrzała na mnie ukradkiem, z lekka zarumieniła się i spuściła oczy.

— Widzi pani, dlaczego pani wtedy ode mnie uciekła? Gdybym był przy pani, nic by się nie stało...

— Ależ ja pana nie znałam; myślałam, że pan też...

— A czy pani mnie teraz zna?

— Trochę. Dlaczego na przykład pan drży?

— O, pani zgadła od razu! — odpowiedziałem zachwycony, że moja panienka jest domyślna: to piękności nigdy nie szkodzi. — Tak, pani od razu odgadła, z kim ma do czynienia! To prawda, jestem nieśmiały wobec kobiet, jestem wzburzony, nie przeczę, tak jak i pani przed chwilą, gdy ten jegomość panią przestraszył... I ja jestem teraz przestraszony. To wszystko jest jak sen, a mnie się nawet nie śniło, że kiedykolwiek będę mówił z kobietą.

— Co? Doprawdy?

— Tak, jeżeli mi ręka drży, to dlatego, że nigdy jeszcze nie uścisnęła jej taka śliczna, maleńka rączka jak rączka pani. Zupełnie odzwyczaiłem się od kobiet, a właściwie nigdy się do nich nie przyzwyczaiłem; jestem przecież samotny... Nie wiem

nawet, jak z nimi trzeba mówić. Ot i teraz nie wiem, czy nie powiedziałem pani jakiego głupstwa. Niech mi pani powie bez ogródek; uprzeczą panią, że nie jestem obraźliwy.

— Nie, nie; przeciwnie. I skoro pan chce, żebym była szczerą, powiem panu, że kobietom podoba się taka nieśmiałość, a jeżeli chce pan dowiedzieć się więcej, mnie również to się podoba — i nie odpędzę pana od siebie aż do samego domu.

— Pani doprowadzi mnie do tego — zacząłem, a zachwyt wprost zapierał mi oddech — że zaraz przestanę być nieśmiały, a wówczas: żegnajcie wszystkie moje szansę.

— Szansę? Co za szansę, na co? O, to już głupie.

— Przepraszam, więcej nie będę, to mi się tak wyrwało; ale jak pani może wymagać, żebym w takiej chwili nie miał życzenia...

— Żeby się podobać, czy co?

— (No tak, ale na Boga, niechże pani będzie wyrozumiała. Niech pani pomyśli, jaki ja jestem! Mam już dwadzieścia sześć lat, a nigdy nikogo nie widywałem. I jakże ja mogę mówić ładnie, jak należy i do rzeczy? A dla pani będzie lepiej, jeżeli wszystko stanie się jawne, szczerze... Nie mogę milczeć, kiedy się we mnie serce odzywa. Ale wszystko jedno... Czy da pani wiarę? — ani jednej kobiety, nigdy, nigdy! Żadnych znajomości! I tylko marzę co dzień, że wreszcie kiedyś kogoś

spotkam. Ach, gdyby pani wiedziała, ile razy byłem zakochany w ten sposób!

— Ależ jak to, w kim?

— W nikim, w ideale, w tej, co się we śnie przyśni. Stwarzam w marzeniu całe powieści. O, pani mnie nie zna! Co prawda nie można zupełnie nie znać kobiet, znałem ich dwie czy trzy, ale co to za kobiety? Wszystko to takie gospodynie, że... Ale ja panią rozśmieszę, kiedy opowiem, że kilkakrotnie miałem zamiar odezwać się na ulicy tak, po prostu, do jakiejś arystokratki, naturalnie, kiedy będzie sama; naturalnie, odezwać się nieśmiało, z szacunkiem, namiętnie; powiedzieć, że ginę samotny, żeby mnie nie odpędzała, że nie mam sposobu poznania ani jednej kobiety; przekonać ją, że kobieta ma nawet obowiązek wysłuchania nieśmiałego błagania człowieka tak nieszczęśliwego jak ja. Że wreszcie wszysktko, czego chce, sprowadza się tylko do tego, żeby mi powiedzieć ze współczuciem parę serdecznych słów, nie odpędzić mnie od razu, uwierzyć mi na słowo, wysłuchać tego, co będę mówił, wyśmiać się ze mnie, jeśli wola, dać mi nadzieję, powiedzieć do mnie kilka słów, tylko kilka słów, a potem niechbym się z nią nawet nigdy już nie spotkał!... Ale pani się śmieje... Zresztą, ja po to właściwie mówię...

— Niech pan się nie gniewa; śmieję się z tego, że pan jest swoim własnym wrogiem i że gdyby

pan spróbował, z pewnością by się to panu udało, chociażby nawet na ulicy; im prościej, tym lepiej... Ani jedna dobra kobieta, jeżeli tylko nie jest głupią albo jeżeli nie jest w owej chwili o coś zła, nie zdecydowałaby się odprawić pana bez tych kilku słów, o które pan tak nieśmiało błaga... A zresztą, co ja mówię! Naturalnie, że wziewałby pana za wariata. Sądziłam przecież tylko po sobie. Ale znam świat i ludzi!

— O, dziękuję pani! — zawałałem. — Pani nie wie, co pani dla mnie teraz zrobiła!

— Dobrze, dobrze! Ale niech mi pan powie, skąd pan wie, że ja jestem taką kobietą, z którą... no, którą pan uznał za godną uwagi i przyjaźni... Słowem, nie gospodyn, jak się pan wyraża. Dlaczego pan się zdecydował podejść do mnie?

— Dlaczego? Dlaczego? Ależ pani była sama, ten jegomość był nadto śmiały, teraz jest noc: sama się pani zgodzi, że obowiązkiem moim...

— Nie, nie, jeszcze wcześniej, tam, po tamtej stronie. Przecież pan chciał podejść do mnie?

— Tam, po tamtej stronie? Doprawdy, nie wiem, jak odpowiedzieć; obawiam się... Wie pani, byłem dzisiaj szczęśliwy; szedłem i śpiewałem; byłem za miastem; nigdy jeszcze nie przeżywałem tak szczęśliwych chwil. Pani... zresztą może mi się tak zdawało... No, niech mi pani wybacz, że o tym wspominam: zdawało mi się, że pani płakała i:; nie mogłem tego słuchać... aż mi się

serce ścisnęło... O mój Boże! Czyż nie było mi wolno zatroszczyć się o panią? Czyż to był grzech, że poczułem dla pani braterskie współczucie... No, słowem, czymbym mógł panią obrazić, że mimo woli przyszło mi do głowy zbliżyć się do pani?

— Niech pan da spokój, dosyć, niech pan już nic nie mówi... — powiedziała dziewczyna, spuszczając oczy i uściśnawszy swoją dłoń. — Sama jestem winna, że zaczęłam o tym mówić; miło mi jednak, że się na panu nie zawiodłam... Ale oto już jestem w domu; muszę skręcić tu, w tę uliczkę, stąd tylko parę kroków... Żegnam i dziękuję panu...

— A więc już nigdy, nigdy się nie zobaczymy?... Więc na tym się wszystko skończy?

— Widzi pan — powiedziała dziewczyna, śmiejąc się — z początku szło panu tylko o kilka słów, a teraz... Zresztą, nic panu nie powiem... Możliwe, że się spotkamy...

— Przyjdę tu jutro — powiedziałem. — O, niech mi pani wybacz, że już domagam się...

— Tak, pan jest niecierpliwy... Pan prawie żąda...

— Proszę pani, proszę pani! — przerwał jej.

— Niech mi pani wybacz, jeżeli znów powiem coś takiego... Ale ot co: nie mogę nie przyjść tutaj jutro. Jestem marzycielem; tak mało mam

rzeczywistego życia, że takie chwile, jak ta, jak teraz, zdarzają mi się rzadko i muszę powracać do nich w marzeniu. Będę marzył o pani całą noc, cały tydzień, cały rok. Na pewno przyjdę tutaj jutro, właśnie tutaj, na to samo miejsce, właśnie o tej godzinie, i będę szczęśliwy, wspominając o wczorajszym. To miejsce jest mi już drogie. Mam już w Petersburgu takie dwa albo trzy miejsca. Raz nawet rozpłakałem się na wspomnienie, tak samo jak pani... Kto wie, może i pani przed dziesięcioma minutami płakała z powodu wspomnień... Ale niech mi pani wybaczy, znów się zapomniałem; może i pani kiedyś była tu szczególnie szczęśliwa...

— Dobrze — powiedziała dziewczyna — możliwe, że przyjdę tutaj jutro, również o dziesiątej. Widzę, że już nie mogę panu zabronić... Idzie o to, że muszę tutaj być; niech pan tylko nie myśli, że się z panem umawiam; uprzedzam pana, że muszę tu być we własnej sprawie. No i... powiem panu wprost: nie szkodzi, jeżeli i pan przyjdzie; po pierwsze, mogą znowu zdarzyć się jakieś przykrości jak dzisiaj, ale mniejsza o to... słowem, po prostu chciałabym pana zobaczyć... żeby mu powiedzieć kilka słów. Tylko, widzi pan, czy pan teraz o mnie źle nie pomyśli? Niech pan nie sądzi, że ja się tak łatwo umawiam... Nie umawiałabym się, gdyby... Ale niech to będzie moją tajemnicą! Tylko z góry umowa...

— Umowa! Niech pani mówi, niech pani powie wszystko zawczasu, na wszystko się zgadzam, gotów jestem na wszystko! — zawałałem w zachwycie. — Odpowiadam za siebie, będę posłuszny, pełen uszanowania... pani mnie zna...

— Właśnie dlatego, że pana znam, proszę pana na jutro — powiedziała dziewczyna, śmiejąc się.

— Znam pana doskonale. Ale niech pan uważa, zapraszam pana pod warunkiem, że, po pierwsze (tylko niech pan będzie tak dobry i spełni to, o co poproszę — widzi pan, mówię szczerze), niech pan się we mnie nie zakocha... Nie trzeba tego robić, zapewniam pana. Do przyjaźni jestem gotowa, oto moja ręka... A zakochać się nie trzeba, proszę pana!

— Przysięgam pani! — zawałałem, chwytając ją za rękę.

— Dość, niech pan nie przysięga, wiem przecież, że pan zdolny jest wybuchnąć jak proch. Niech pan mnie źle nie sądzi, jeżeli tak mówię. Gdyby pan wiedział... Ja również nie mam nikogo, z kim bym mogła parę słów zamienić, kogo by można się zapytać o radę. Naturalnie, że nie na ulicy szuka się doradców, ale pan jest wyjątkiem. Znam pana tak dobrze, jakbyśmy już ze dwadzieścia lat byli przyjaciółmi... Prawda, że pan mnie nie zdradzi?

— Zobaczy pani... tylko nie wiem, jak ja się doczekam, choćbym tylko dobę miał czekać.

— Niech pan mocno śpi, dobrej nocy, i niech pan pamięta, że już mu zaufałam. Ale pan to tak dobrze powiedział przed chwilą: czy z każdego uczucia trzeba zdawać sprawę, nawet kiedy po bratersku komuś się współczuje? Wie pan, to było tak dobrze powiedziane, że przyszło mi teraz na myśl zwierzyć się panu...

— Na Boga, z czego? Co takiego?

— Do jutra. Niech to na razie będzie tajemnicą. Tym lepiej dla pana, chociaż z daleka będzie podobne do romansu. Może jutro już panu powiem, ale może i nie... Jeszcze pomówię z panem przedtem, poznamy się lepiej.

— O, przecież ja pani zaraz jutro wszystko o sobie opowiem! Ale co to? Jakby się cuda ze mną działały... Boże mój, gdzie ja jestem? No, niech mi pani powie, czy pani jest niezadowolona, że się na mnie nie rozgrywiała, jak by postąpiła inna, że nie odpędziła mnie pani zaraz na początku? Dwie minuty, i uczyniła mnie pani na zawsze szczęśliwym. Tak, szczęśliwym; kto wie, może pani mnie pogodziła z sobą samym, rozwiała moje wątpliwości... Może zdarzą mi się takie chwile... No, ale ja pani jutro wszystko opowiem, wszystkiego się pani dowie, wszystkiego...

— Dobrze, zgoda; pan więc zacznie...

— Zgoda.

— Do widzenia!

— Do widzenia!

I rozstaliśmy się. Chodziłem przez całą noc. Nie mogłem się zdecydować na powrót do domu... Byłem taki szczęśliwy... do jutra!

## Noc druga

— No i doczekaliśmy się — powiedziała ze śmiechem, ściskając mi ręce.

— Jestem tu już od dwóch godzin; pani nie wie, co się ze mną działało przez cały dzień.

— Wiem, wiem... Ale do rzeczy. Wie pan, po co przyszłam? Nie po to przecież, żeby gadać głupstwa jak wczoraj. Ot co: musimy na przyszłość postępować rozsądniej. Długo myślałam wczoraj o tym wszystkim.

— Ale pod jakim względem mamy postępować rozsądniej? Co do mnie, to jestem gotów; ale, doprawdy, nigdy w życiu nie zdarzało mi się nic rozsądniejszego niż teraz.

— Doprawdy? Po pierwsze, proszę, żeby pan nie ściskał tak mocno moich rąk; po drugie, oświadczam panu, że długo dziś o nim myślałam.

— No i czym się to skończyło?

— Czym się skończyło? Skończyło się tym, że trzeba wszystko zacząć od nowa, bo ostatecznie doszłam dżdjsaj do przekonania, że ja pana wcale

jeszcze nie znam, że wczoraj postapiłem jak dziecko, jak mała dziewczynka i, naturalnie, wychodzi na to, że wszystkiemu winno moje dobre serce. I żeby naprawić błąd, postanowiłem dowieźć się wszystkiego o panu, i to możliwe jak najdokładniej. Ale ponieważ nie mam kogo zapytać o pana, więc powinien mi pan sam wszystko o sobie powiedzieć, wszystko bez wyjątku. No, ja'ki pan jest? Prędzej, niech pan zaczyna, niech pan opowiada swoją historię.

— Historię! — zawałałem z przestrachem — historię! Ale który pani powiedział, że ja mam jakąś historię? Nie mam żadnej historii...:

— Jakże więc pan żył, jeżeli nie ma historii?  
— przerwała mi śmiejąc się.

— Zupełnie bez żadnej historii! Żyłem, jak to się mówi, ot tak, sam, zupełnie sam: wie pani, co to znaczy zupełnie sam?

— Jak to: sam? Czyżby pan nigdy nikogo nie widywał?

— O nie, widywać — widuję, a jednak sam.  
— Cóż to, czy pan z nikim nie rozmawia?

— Dosłownie z nikim.  
— Kim więc pan jest, niech pan wytkumaczy!

Zaraz, domyślamsię: pan pewnie ma babkę, tak samo jak ja. Jest ślepa i przez całe życie nigdzie mnie nie puszcza, toteż prawie zapomniałem mówić. A kiedy jej napsociłem dwa lata temu, to ona, widząc, że mnie nie utrzyma, zawała mnie

i przypiąła agrafką moje ubranie do swojego — i tak od tego czasu siedzimy całymi dniami; ona robi pończochę, chociaż ślepa, a ja muszę siedzieć przy niej, szyc albo książkę czytać na głos — taki to dziwny zwyczaj, że oto już dwa lata jestem przypięta...

— Ach, mój Boże, co za nieszczęście! Ależ nie mam, nie mam takiej babki.

— Jeżeli pan nie ma, to jak pan może siedzieć w domu?

— Proszę pani, czy pani chce wiedzieć, kim jestem?

— No tak, tak!

— Dokładnie?

— Jak najdokładniej.

— A więc służę pand — jestem typem.

— Typem, typem! Co za typem? — zawała dziewczyna, śmiejąc się tak, jak gdyby przez cały rok nie miała okazji do śmiechu. — Ależ z panem jest przezabawnie! Widzi pan: tutaj jest ławka, usiąźmy! Tedy nikt nie chodzi, nikt nas nie będzie słyszał i — niechże pan zaczyna swoją historię! Bo przecież nie przekona mnie pan: ipan musi mieć swoją historię, tylko pan ją przede mną ukrywa. Po pierwsze, co to takiego typ?

— Typ? Typ? — to oryginał, to taki zabawny człowiek! — odpowiedziałem, za jej przykładem roześmiawszy się dzieciętym śmiechem. — To

taki charakter. Proszę pani, czy pani wie, co to znaczy: marzyciel?

— Marzyciel? Ależ, proszę pana, jak można nie wiedzieć? Sama jestem marzycielką. Nieraz, kiedy siedzę przy babce, tyle mi różnych myśli przychodzi do głowy. No i zaczynam małzyć, a jak się rozmarzę — to po prostu wychodzę za mąż za chińskiego księcia... Bo czasami to przecież dobrze — marzyć! Nie, zresztą Bóg raczy wiedzieć! Zwłaszcza jeżeli i bez tego jest o czym myśleć — dodała dziewczyna, tym razem dość poważnie.

— Cudownie! Jeżeli pani już raz wychodziła za mąż za chińskiego bogdychana, to znaczy, że mnie pani całkowicie zrozumie. No, niech pani słucha... Ale przepraszam: przecież ja jeszcze nie wiem, jak się pani nazywa.

— Nareszcie! Nareszcie pan sobie przypomniał!

— Ach, mój Boże! Ależ mi to nawet do głowy nie przyszło — i tak mi było dobrze...

— Nazywam się Nastusia.

— Nastusia! A dalej?

— Dalej — nic! Czyż to za mało? Ach, jaki pan nienasycony!

— Mało? Dużo, dużo, przeciwnie, bardzo dużo, panno Nastusiu; poczciwa z pani dziewczyna, skoro od razu została pani dla mnie Nastusia!

— Otóż to! No więc!

— Otóż, panno Nastusiu, niech pani posłucha, co za śmieszna historia.

Usiadłem obok niej, przybrałem pedantycznie poważną postawę i zacząłem jak z książki:

— Istnieją w Petersburgu, jeśli pani o tym nie wie, panno Nastusiu, dość dziwne zakątki. Wydaje się, jakby w te miejsca nie zaglądało słońce, które świeci wszystkim petersburszczanom, lecz jakieś inne, nowe, jakby umyślnie zamówione dla tych kątów, i przyświeca wszysktkiemu innym, specjalnym światłem. W tych kątach, droga panno Nastusiu, żyje się życiem jak gdyby zupełnie innym, niepodobnym do tego, które wre wokoło nas, życiem możliwym w jakimś królestwie za siódmą górą i za siódmą rzeką, a nie u nas, w tych okropnie poważnych czasach. Otóż właśnie życie jest mieszaniną czegoś czysto fantastycznego, płomiennie idealnego z czymś (niestety, panno Nastusiu) szaro prozaicznym i zwykłym, że nie powiem już: nieprawdopodobnie nędzonym.

— Fe! Ach, mój Boże! Co za wstęp! Czego też ja się dowiem?

— Dowie się pani, panno Nastusiu (zdaje mi się, że nigdy nie przestanę nazywać pani Nastusią), dowie się pani, że w tych kątach zamieszkują dziwaczni ludzie — marzyciele. Marzyciel, jeśli chodzi o ścisłe określenie, nie jest człowiekiem, lecz jakimś gatunkiem pośrednim. Mieszka

najczęściej gdzieś w niedostępny kącie, jak gdyby się w nim krył nawet przed światłem dziennym, i jak się już raz do swojego kąta dostanie, to tak do niego przyrośnie jak ślimak, a przynajmniej bardzo jest pod tym względem podobny do owego interesującego stworzenia, które jest równocześnie i zwierzęciem, i domem, a zwie się żółwiem. Jak pani sądzi, dlaczego on tak lubi swoje cztery ściany, koniecznie wymalowane na zielono, zakopcone, posepne i okropnie cuchnące tytoniowym dymem? Dlaczego ten śmieszny jegomość, jeśli go przyjdzie odwiedzić ktoś z jego nielicznych znajomych (a zwykle wszyscy znajomi w końcu go opuszczają), dlaczego ten śmieszny człowiek przyjmuje go z takim zakłopotaniem, tak zmieniwszy się na twarzy i tak zmieszany, jakby przed chwilą pośród swoich czterech ścian popełnił przestępstwo, jakby fabrykował fałszywe banknoty albo jakieś wierszyki celem przesłania ich do dziennika wraz z listem anonimowym, gdzie się nadmienia, że poeta, który to napisał, już umarł i że jego przyjaciel uważa za swój świętego obowiązek opublikowanie jego wierszy? Dlaczego, niech pani powie, panno Nastusiu, tak się im rwie rozmowa? Dlaczego ani śmiech, ani jakieś śmielsze słowo nie pada z ust niespodzianie nadeszłego i zakłopotanego przyjaciela, który w innym wypadku bardzo lubi i śmiech, i śmielsze słówka, i rozmowy o płci pięknej, i inne we-

sołe tematy? Dlaczego wreszcie ten przyjaciel, znajomy od niedawna i będący z pierwszą wizytą — bo następnej wobec tego nie będzie i przyjaciel nie przyjdzie po raz drugi — dlaczego ten przyjaciel również jest zakłopotany i staje się taki małomówny pomimo swego dfcwcipu (jeżeli go tylko posiada), patrząc na wykrzywioną twarz gospodarza, który z kolei zmieszał się już do reszty i stracił ostatni wątek pomimo tytanicznych, lecz daremnych usiłowań, aby nadać rozmowie płynność i blask, okazać ze swej strony znajomość dobrego tonu, poruszyć temat płci pięknej i przypodobać się choćby przez tę pokorę biednemu człowiekowi, który źle trafił, przychodzący przez omyłkę go odwiedzić? Dlaczego wreszcie gość nagle chwyci za kapelusz i spiesznie wychodzi, niespodziewanie przypomniawszy sobie bardzo ważną sprawę, która nigdy nie istniała, i uwalnia jąkoś swą rękę z gorących uścisków gospodarza starającego się okazać skruchę i poprawić wrażenie? Dlaczego ów przyjaciel wyszedłszy za drzwi śmieje się i daje sobie słowo, że nigdy już więcej nie przyjdzie do tego dziwaka, chociaż ten dziwak to w gruncie rzeczy dobry chłop, a równocześnie ów przyjaciel nie może odmówić swej wyobraźni małej zachcianki: porównania, zresztą dość odległego, fizjonomii niedawnego rozmówcy podczas całej wizyty z wyglądem nieszczęsnego kotka, którego dzieci wytarnosiły, nastraszyły i na

różne sposoby wydręczyły, wziawszy go zdziecko do niewoli, a który ukrył się w końcu przed nimi pod krzesło, w ciemny kąt, i tam całą godzinę otrząsa się, prycha i myje swój sponiewierany pyszczek obiema, łapkami, a później jeszcze dłujo nieprayjaźnie spogląda na świat i życie, a nawet na łaskawe datki z pańskiego obiadu, odłożone dla niego przez litościwą klucznicę.

— Proszę pana — przerwała Nastusia, słuchająca mnie przez cały czas ze zdziwieniem, z otwartymi oczami i buzią — proszę pana, nie mam pojęcia, dlaczego wszystko się tak stało i dlaczego właśnie mnie zadaje pan takie śmieszne pytania; ale wiem na pewno, że wszystkie te przygody zdarzały się panu co do jedy.

— Niewątpliwie — odparłem z jak najpoważniejszą miną.

— No więc, jeżeli niewątpliwie, to niech pan dalej opowiada — odrzekła Nastusia — bo bardzo bym chciała wiedzieć, czym się to skończy.

— Pani by chciała wiedzieć, panno Nastusiu, co robił w swoim kąciku nasz bohater, czyli ja, bo ja jestem bohaterem całego tego opowiadania; ja, w swojej własnej skromnej osobie; pani by chciała wiedzieć, dlaczego się tak spłoszyłem i straciłem głowę na cały dzień z powodu nieoczekiwanej wizyty przyjaciela? Pani by chciała wiedzieć,

dlaczego się tak nastroszyłem i poczerwieniałem, gdy otworzyły się drzwi do mojego pokoju, dlaczego nie umiałem przyjąć gościa i tak haniebnie ugiąłem się pod ciężarem własnej gościinności?

— No tak, tak! — odpowiedziała Nastusia — właśnie o to chodzi. Proszę pana, pan ślicznie opowiada, ale czy nie można by opowiadać jakoś nie tak ślicznie? Bo tak pan mówi, jakby pan z książki czytał.

— Panno Nastusiu! — odpowiedziałem poważnym i surowym tonem, ledwie powstrzymując się od śmiechu — droga panno Nastusiu, ja wiem, że opowiadam ślicznie, ale niech pani wybacz, inaczej nie umiem. Teraz, droga panno Nastusiu, teraz jestem podobny do ducha króla Salomona, który przetrwał tysiąc lat w glinianej bańce pod siedmioma pieczęciami, i z którego nareszcie zdjęto te siedem pieczęci. Teraz, droga panno Nastusiu, kiedyśmy się znów zeszli po tak długiej rozłące, bo ja już dawno panią znałem, panno Nastusiu, bo ja już dawno kogoś szukałem, a to znaczy, że szukałem właśnie pani, i że było nam sądzone teraz się spotkać, teraz w mojej głowie otwarło się tysiące zapór i muszę rozlać się rzeką słów, inaczej się uduszę. A więc, proszę mi nie przerywać, panno Nastusiu, i słuchać z pokorą i posłuszeństwem; inaczej — umilknę.

— Nie, nie, nie! Pod żadnym pozorem! Niech pan mówi! Teraz już nie powiem ani słowa.

— A więc ciagnę dalej: istnieje, droga moja panno Nastusiu, w ciągu dnia pewna godzina, którą nadzwyczaj lubię. To ta godzina, o której kończą się prawie wszystkie sprawy, zajęcia i obowiązki, i wszyscy idą do domu na obiad, żeby się położyć i odpocząć, i od razu po drodze wynajdują wesołe pomysły, tyczające się wieczoru, nocy i całego wolnego czasu, który im pozostaje. O tej godzinie i nasz bohater — niech mi już pani pozwoli, panno Nastusiu, opowiadać w trzeciej osobie, bo w pierwszej strasznie wstyd by mi było opowiadać — a więc o tej godzinie i nasz bohater, który też nie próżnował, pośpiesza za innymi. Ale dziwne uczucie zadowolenia igra na jego bladej, jakby pomietej twarzy. Nie bez wzruszenia patrzy na zorzę wieczorną, która powoli gaśnie na chłodnym petersburskim niebie. Mówiąc: patrzy — kłamię; on nie patrzy, lecz obserwuje jakoś mimo woli, jak gdyby był zmęczony albo' ząjęty wówczas czymś innym, co bardziej go pochłania, toteż tylko przelotnie, prawie niechcący, może poświecić trochę czasu wszystkiemu, co go otacza. Jest zadowolony dlatego, że skończył do jutra z nieprzyjemnymi dla niego sprawami, i cieszy się jak sztubak wypuszczony ze szkolnej ławy na myśl o ulubionych zabawach i figlach. Niech pani mu się przyjrzy z boku, panno Nastu-

siu: zaraz pani zobaczy, że uczucie radości już po działało szczęśliwie na jego słabe nerwy i chorobliwie draźliwą fantazję. Oto zamyslił się nad czymś. Sądzi pani, że nad obiadem? Albo nad wczorajszym wieczorem? Na co on tak patrzy? Czy na tego pana o solidnej powierzchowności, który tak malowniczo skłonił się pani przejeżdżającej obok niego w błyszczącej karecie, zaprężonej w rączce konie? Nie, panno Nastusiu, cóż go teraz obchodzi wszystkie te drobiazgi! Teraz jest już bogaty swym własnym życiem; — ja-koś nagle zbogacił się, i pożegnalny promień gąsnącego słońca nie na próżno tak wesoło mu błysnął i wywołał z rozgrzanego serca całe roje wrażeń. Teraz ledwie dostrzega tę drogę, na której przedtem byle drobiazg mógł go zdumieć. Teraz „bogini fantazji” (jeśli pani czytała Żukowskiego\*, droga panno Nastusiu) już utkała swawolną ręką swoją złocistą kanwę i snuje przed nim wzory niezwykłego, cudownego życia — i, kto wie, może z porządnego, granitowego trotuaru, po którym idzie do domu, przeniosła go swawolną ręką do siódmego kryształowego nieba. Proszę teraz spróbować go zatrzymać, zapytać go nagle: gdzie się znajduje, jakimi szedł ulicami? — na pewno nic by sobie nie 'przypomniał: ani ktorędy szedł,

\* Wasilij Zukowski (1783–1852) — poeta wczesnoromantyczny, autor licznych ballad, m. in. travestowanych z poezji niemieckiej i angielskiej.

ani gdzie się znajduje, i czerwieniąc się ze złości na pewno skłamałby coś dla zachowania pozorów przyzwoitości. Oto dlaczego tak drgnął, omal nie krzyknął i z przestrachem obejrzał się dokoła, gdy pewna czcigodna staruszka grzecznie zatrzymała go na środku trotuaru, pytając o drogę. Zachmurzywszy się ze złości idzie dalej, ledwie dostrzegając, że niejeden przechodzień uśmiechnął się patrząc na niego i odwrócił się za nim, i że jakąś małą dziewczynkę<sup>^</sup> która lejkliwie ustąpiła mu z drogi, głośno się roześmiała przyjrzawszy się wielkimi oczami jego szerokiemu, zamyslonemu uśmiechowi i gestom. Ale owa bogini fantazji znów porwała swym kapryśnym lotem i staruszkę, i ciekawych przechodniów, i śmiejącą się dziewczynkę, i chłopów jedzących wieczерzę na barkach, które zatarasowały Fontankę (przypuśćmy, że wtedy właśnie nasz bohater tamtędy przechodził), i żartobliwie wetknęła w swą kanwę wszystkich i wszystko, jak muchy w pajęczynę, i nasz dziwak, unosząc wszystko to z sobą, już wrócił do domu, do swej pociesznej norki, już zasiadł do stołu, już dawno zjadł obiad i ocknął się dopiero wtedy, gdy zamysiona i wiecznie smutna Matriona, która mu usługuje, wszystko już sprzątnęła ze stołu i podała mu fajkę; ocknął się i ze zdziwieniem przypomniał sobie, że dawno zjadł obiad, zupełnie przeoczywszy, jak to się stało. W pokoju się ścimniło; w jego duszy

pusto i smutno; całe królestwo marzenia runęło w gruzy wokoło niego, runęło bez śladu, bez trzasku i hałasu, rozwiąło się jak senna mara, i on nawet nie pamięta, o czym marzył. Ale jakieś niejasne wrażenie, skutkiem którego z lekka заболiała i faluje jego pierś, jakieś nowe pragnienie kusząco łechce i drażni jego fantazję, i niepostrzeżenie przyzywa całe roje nowych złud. W maleńkim pokoju panuje cisza; samotność i lenistwo działają na wyobraźnię; wyobraźnia rozpłomienia się z lekka, z lekka zaczyna wrzeć jak woda w imbryku do kawy starej Matriony, która niewzruszenie krząta się obok w kuchni, przyrządzając sobie cienką kawę. Oto już zaczynają się pierwsze lekkie wybuchi, oto już 1 książka, wzięta bez celu i na chybień trafił, wypada z rąk mojego marzyciela, który nie doczytał nawet do trzeciej stronicy. Jego wyobraźnia znów jest nastrójona, podniecona i nagle znów nowy świat, nowe, czarujące życie zabłysnęło przed nim w swej świetnej perspektywie. Nowy sen — nowe szczęście! Nowa dawka subtelnej, rozkosznej trucizny! O, cóż go obchodzi nasze rzeczywiste życie! W jego oczarowanych oczach ja i pani, panno Nastusiu, żyjemy tak leniwie, powoli, opieszale; w jego oczach jesteśmy wszyscy tak niezadowoleni ze swego losu, tak zmęczeni życiem! Zresztą, niech pani spojrzy, na pierwszy rzut oka doprawdy wszystko między nami jest chłodne, po-

nure i jakby gniewne... „Biedni!” — myśli sobie mój marzyciel. I nic dziwnego, że tak myśli! Niech pani się przyjrzy tym czarodziejskim mantom, które tak czarującą, tak kapryśnie, tak bezbrzeżnie i szeroko snują się przed nim w owym czarodziejskim, żywym obrazie, gdzie na pierwszym planie najważniejszą postacią jest naturalnie nasz marzyciel w swej własnej, cennej osobie. Niech pani popatrzy, jakie różnorodne przygody, jakie nieskończone roje wspaniałych marnotrażeń. Może pani zapyta, o czym on marzy! Po cóż o to pytać! O wszystkim... o roli poety, najpierw nie uznanego, później wsławionego; o przyjaźni z Hoffmannem\*; noc św. Bartłomieja, Diana Vernon \*\*, bohaterska rolą przy zdobyciu Kazania przez Iwana Wasiliewicza \*\*\*, Klara Mowbray \*\*\*\*, Effie Deans \*\*\*\*\*; sąd prałatów nad Husem, nieboszczyca zmartwychwstający w *Robercie Dia-*

\* E. T. A. Hoffmann (1776—1822) — pisarz niemiecki, autor opowieści fantastycznych, m. in. *Dziadka do orzechów*.

\*\* Diana Vernon — bohaterka powieści Waltera Scotta *Rob Roy* (1818).

\*\*\* Kazań został zdobyty przez Iwana IV, syna Wasilija, w październiku 1552 r.

\*\*\*\* Klara Mowbray — postać w powieści Waltera Scotta *St. Roman's Well* (1824).

\*\*\*\*\* Effie Deans — bohaterka powieści Waltera Scotta *The Heart of Midlothian* (1818).

ble \* (pamięta pani muzykę? Pachnie cmentarzem!), Minna i Brenda \*\*, bitwa pod Berezyną, czytanie poematu u hrabiny W. D. \*\*\*, Danton, *Cleopatra e suoi amanti* \*\*\*\*\*, domek w Kołomniie \*\*\*\*\*; własny kącik, a obok droga istota, która zimowym wieczorem słucha z otwartą buzią i oczekami, tak samo jak pani teraz słucha, mój mały aniołku... Nie, panno Nastusiu, co jego, lubieżnego leniucha, obchodzi to życie, którego my tak pragniemy. On sądzi, że to życie jest marne i godne politowania, nie przeczuwając nawet, że może i dla niego wybije kiedyś smutna godzina, w której za jeden dzień tamtego żałosnego życia odda wszystkie swe fantastyczne lata — i odda je nie za radość, nie za szczęście, i nie będzie nawet chciał wybierać w tą godzinę smutku,

\* Mowa o scenie w katedrze w Palermo, w operze Meyerbeera *Robert Diabeł* (1831). Dostojewski ma tu na myśli słynne „wezwanie” jednej z postaci tej opery, Bertrama (w akcie V): *Nonnes, qui veposez sous cette pierre jroide...* (Mniszki, spoczywające pod tym zimnym głazem...).

\*\* Nawiązanie do dwóch utworów wczesnoromanantycznej poezji rosyjskiej; *Minna* to tytuł wiersza W. Żukowskiego, *Brenda* to tytuł ballady J. Kozłowa (1779—1840).

\*\*\* Mowa o hrabinie Aleksandrze Woroncow — Daszków (1818—1856) i jej salonie.

\*\*\*\* Kleopatra i jej kochankowie.

\*\*\*\*\* Aluzja do utworu Puszkina *Domik w Kolomnie* (1830).

skruchy i niezmiernego żalu. Lecz na razie jeszcze nie nadeszły te groźne czasy — niczego nie pragnie, dlatego że stoi ponad pragnieniami, dlatego że ma wszystko, dlatego że jest przesycony, dlatego że sam jest artystą swego życia i stwarza je sobie co godzina według własnej nowej fantazji. I przecież tak łatwo, tak naturalnie stwarza się ten bajeczny, fantastyczny świat! Jak gdyby rzeczywiście to nie było złudzenie! Doprawdy, czasami chce mi się wierzyć, że całe życie nie jest ani wynikiem rozbudzonego uczucia, ani mirażem, ani złudzeniem wyobraźni, lecz że jest prawdziwe, rzeczywiste, że istnieje! Dlaczego, niech mi pani powie, panno Nastusiu, dlaczego w takich, chwilach trudno oddychać? Dlaczego przez jakieś czarodziejstwo, z jakiegoś nieznanego powodu puls bije szybciej, łzy płyną z oczu marzyciela, jego blade, wilgotne policzki płoną rumieńcem, a nieodparta błogość przenika całe jego jestestwo? Dlaczego długie bezsenne noce mijają, jak jedna chwila, w nieskończonej radości i szczęściu, a gdy zorza zabłyśnie w oknach i ,owym promieniem i świt rozwidni posępny pokój niepewnym, fantastycznym światłem jak u nas w Petersburgu, nasz marzyciel, wyczerpany, znużony, pada na łóżko i zasypia z na pół umarłą z zachwytu, chorobliwie wstrząśniętą duszą i z tak dręczące słodkim bólem w sercu? Tak, panno Nastusiu, można się omylić i mimo woli

naprawdę uwierzyć, że jest coś żywego, osiągalnego w jego bezcielesnych marzeniach! Co za złuda! Oto na przykład miłość zawitała do jego serca z całą swoją niewyczerpaną radością, ze wszystkimi swoimi udrukami... Dość na niego spojrzeć, żeby się przekonać. Czy pani uwierzy, patrząc na niego, droga panno Nastusiu, że on naprawdę nigdy nie znał tej, którą tak kochał w swym szalonym marzeniu? Czyżby ją widział tylko w złudnych widziadłach i czy tylko śniła mu się ta namiętność? Czyżby oni naprawdę nie przeszli ręka w rękę tylu lat swojego życia — sami, we dwoje, wzgardziwszy całym światem i złączyszy każde swój świat, swoje życie z życiem drugiego? Czyż nie ona o późnej godzinie, gdy nastąpiła rozłaka, upadła płacząc i rozpaczając na jego pierś, nie słysząc burzy szalejącej pod okrutnym niebem, nie słyszcząc wiatru, który zrywał i unosił łzy z jej czarnych rzęs? Czyżby wszystko to było marzeniem — i ten ogród, ponury, zapuszczony i dziki, z dróżkami porosłymi mchem, opustoszały, posępny, gdzie tak często razem chodzili, rdili o pryszność, smucili się, kochali się, kochali się wzajemnie tak długo, „tak długo i tkliwie”! I ten dziwny, pradziadowski dom, w którym ona tyle czasu mieszkała samotnie i smutno ze starym, posępnym mężem, wiecznie milczącym i zgorzkniałym, którego tak się lękali, nieśmiali jak dzieci, smutno i bojaźliwie ukrywający przed sobą wz-

jemną miłość? Jakże się mężczyli, jak się lękali, jak niewinna, czysta była ich miłość i jak (rozu-  
mie się, panno Nastusiu!) źli byli ludzie! I, mój  
Boże, czyż to nie ją spotkał później daleko od ru-  
bieży swojej ojczyzny, pod obcym niebem, południowym, gorącym, w cudownym starożytnym mieście, wśród 'blasków balu, przy dźwiękach muzyki, w palazzo (koniecznie w *palazzo*) zato-  
pionym w morzu świateł, na tym balkonie owitym mirtem i różami, gdzie ona, poznając go, z takim pośpiechem zdjęła maskę i szepnęła: „Jestem wolna” — zadrżała z zachwytu; i przytuliwszy się do siebie, w jednej chwili zapomnieli i o zgry-  
zocie, i o rozwłe, i o wszystkich udrękach, i o starcu, i o ponurym ogrodzie w dalekiej ojczy-  
źnie, i o ławce, na której z ostatnim namiętnym poczułkiem ona wyrwała się z jego zastygłych w beznadziejnej męce objęć... O, zgodzi się pani, panno Nastusiu, że można się przestraszyć, zmieszać i zaczerwienić jak sztabak, który dopiero co wpakował do kieszeni jabłko skradzione z sąsiedniego ogrodu, gdy jakiś wysoki, zdrowy chłopak, kpiarz i trzpiot, otworzy nagle drzwi i zawała jakby nigdy nic: „A ja, bracie, w tej chwili z Pawłowska!” Mój Boże! stary hrabia umarł, następuje okres niewypowiedzianego szczęścia — a tu ludzie przyjeżdżają z Pawłowska! \*

\* Pawłowsk, w guberni petersburskiej, należał do rodzin cesarskiej; wówczas był poipularnym letniskiem.

Patetyczne zamilkłem, kończąc moje patetyczne wywody. Pamiętam, że miałem wielką ochotę jakoś gwałtem uśmiechnąć się, bo już czułem, że poruszył się we mnie jakiś złośliwy diablik, że coś już mnie zaczęło chwytać za gardło, trząść podbródek, i że coraz bardziej wilgotniały mi oczy... Spodziewałem się, że Nastusia, która mnie słuchała otworzywszy mądre oczyta, roześmiała się dziecięcym, niepowstrzymanie wesołym śmiechem, i żałowałem już, że zaszędziłem za daleko, że niepotrzebnie opowiedziałem to, co wezbrało mi w sercu, o czym mogłem mówić jak z książki dlatego, że już dawno wydałem na siebie wyrok i teraz nie mogłem się powstrzymać, by go nie wypowiedzieć, nie spodziewając się, że zostanę zrozumiany; ale, ku mojemu zdziwieniu, Nastusia milczała, a po chwili z lekka uścisnęła mi dłoń i z jakimś bojaźliwym współczuciem zapytała:

— Czyżby pan naprawdę przeżył tak całe swoje życie?

— Całe życie, panno Nastusiu — odpowiedziałem — całe życie i, zdaje się, tak już skończę!

— Nie, tak nie można — powiedziała niespokojnie — tak nie będzie; tak to może ja przeżyję całe swoje życie obok babki. Proszę pana, czy pan wie, że to niedobrze tak żyć?

— Wiem, panno Nastusiu, wiem — zawała, nie hamując już swych uczuć. — I teraz wiem lepiej niż kiedykolwiek, że zmarnowałem swoje

najlepsze lata! Teraz wiem o tym i odczuwam to tym bolesniej, że sam Pan Bóg zesłał mi panią, mego dobrego anioła, żeby mi to powiedzieć i udowodnić. Teraz, kiedy siedzę obok pani i rozmawiam z nią, aż mi dziwnie na myśl o przyszłości, dlatego, że w przyszłości — znów samotność, znów to przygasłe, niepotrzebne życie; i o czym mam marzyć, kiedy już na jawie, przy pani, byłem tak szczęśliwy! O, niech pani będzie błogosławiona, miła panienko, za to, że pani mnie nie odepchnęła od samego-początku, za to, że już mogę powiedzieć, iż przeżyłem choć dwa wieczory w moim życiu!

— Och, nie, nie! — zawała Nastusia i ężki zabłysły w jej oczach. — Nie, tak dalej nie będzie; my się tak nie rozstaniemy! Cóż to znaczy dwa wieczory!

— Och, panno Nastusiu, panno NaStusi! Czy pani wie, w jak niedługim czasie pogodziła mnie pani z samym sobą? Czy pani wie, że już nie będę myślał o sobie tak źle, jak niekiedy myślałem? Czy pani wie, że może już nie będę się martwił, że popełniłem w życiu przestępstwo i grzech, bo takie życie jest przestępstwem i grzechem? I niech pani nie sądzi, że przesadzam, na Boga, niech pani tak nie myśli, panno Nastusiu, bo na mnie czasem przychodzą chwile takiego przygnębienia, takiego przygnębienia... Bo w takich chwilach zaczyna mi się już zdawać, że nigdy nie

będę zdolny zacząć żyć zwyczajnym życiem, bo mi się już zdawało, że straciłem wszelki związek z rzeczywistością; bo przeklinałem sam siebie; bo po moich fantastycznych nocach przychodzą na mnie chwile otrzeźwienia, które są straszne! Równocześnie słyszać, jak wokoło w żywym wi-chrze huczy i wiruje ludzkie mrowie, słyszać, widać, jak żyją ludzie, żyją na jawie, widać, że życie nie jest im zakazane, że ich życie wiecznie się odradza, jest wiecznie młode i ani jedna jego godzina nie jest podobna do innej, gdy tymczasem jakże jest posępna, aż do obrzydzenia jednostajna, bojaźliwa ta fantazja, niewolnica cienia, nastroju, niewolnica pierwszego obłoku, który niespodzianie zasłoni słońce i ściśnie bólem zwyczajne, petersburskie serca, co tak bardzo sobie ceni to słońce — a w bólu cóż może być za fantazja! Człowiek czuje, że ta nie wyczerpana fantazja w końcu ulega zmęczeniu, wyczerpuje się dlatego, że się przecież dojrzewa; wyrasta się ze swych dawnych ideałów, które rozsypują się w proch, w gruzy; a jeżeli nie ma innego życia, to trzeba je budować właśnie z tych gruzów. A tymczasem dusza prosi o coś innego, czego innego pragnie! I nadaremnie marzyciel grzebie jak w popiele w swych dawnych marzeniach, szukając choćby najmniejszej iskierki, żeby ją rozdmuchać, żeby rozpalonym na nowo ogniem ogrzać oziębłe serce, wskrzesić w nim znów to wszystko, co było

dawniej takie miłe, co wzruszało duszę, co rozgrzewało krew, co wyciskało łzy z oczu i tak rokosiennie oszukiwało! Czy pani wie, panno Nastusiu, do czego doszedłem? Czy pani wie, że już muszę obchodzić rocznice swych rojeń, rocznice tego, co było kiedyś takie miłe, a czego w rzeczywistości nigdy nie było — bo to rocznice tylko tych głupich, bezcześnnych marzeń — i muszę to robić dlatego, że brak mi nawet tych głupich marzeń, bo nie mam ich czym zastąpić: przecież i marzenia się kończą! Wie pani, że lubię teraz przypominać sobie i odwiedzać w określonym czasie te miejsca, gdzie byłem kiedyś po swojemu szczęśliwy, lubię budować swą rzeczywistość na wzór tego, co bezpowrotnie minęło — i często włóczę się jak cień bez potrzeby i bez celu, ponuro i smutno po petersburskich zaułkach i ulicach. I cóż to za wspomnienia! Przypomina mi się na przykład, że w tym właśnie miejscu akurat rok temu, akurat o tej samej porze, o tej samej godzinie włóczyłem się, tak samo samotny, tak samo posepny jak teraz! I przypominam sobie, że i wtenczas marzenia były smutne, a choć i dawniej nie było lżej, zdaje mi się, że jednak jakoś lżej i łatwiej było żyć, że nie było tych czarnych myśli, które się teraz do mnie przyczepiły, że nie było tych wyrzutów sumienia, wyrzutów mrocznych, ponurych, które ani w dzień, ani w nocy nie dają mi teraz spokoju. I pytam sam siebie: „Gdzież twoje

marzenia?” I kręczę głową, mówiąc: „Jak szybko upływają lata!” I znów pytam sam siebie: „Cóżeś zrobił ze swymi latami? Żyłeś, czy nie? Spójrz — mówię do siebie — spójrz, jak na świecie zaczyna być chłodno. Napłyną jeszcze lata, a po nich nadziejście ponura samotność, nadziejście z kosturem ponura starość, a z nimi — smutek i troaska. Zblaknie twój fantastyczny świat, zamرأ, uwiedną twoje marzenia i osypią się jak żółte liście z drzew...” O panno Nastusiu! Przecież smutno będzie pozostać samemu, zupełnie samemu, i nawet nie mieć czego żałować — niczego, zupełnie niczego... bo wszystko, co straciłem, było niczym, głupim, okrągłym zerem, było tylko marzeniem!

— No, niech pan mnie już nie zasmuca! — rzeźała Nastusia, ocierając łezkę, która jej spłynęła z oczu. — Teraz to skończony! Teraz będziemy razem; teraz, cokolwiek by się ze mną zdarzyło, już się nie rozstaniemy. Proszę pana, jestem prosta dziewczyna, mało się uczyłam, chociaż babka nawet zgodziła do mnie nauczyciela; ale doprawdy, rozumiem pana, bo wszystko, co mi pan teraz powiedział, sama już przeżyłam, kiedy babka przyczepiła mnie agrafką do sukni. Naturalnie, nie opowiedziałabym tego tak ładnie jak pan, nie jestem uczona — dodała lekko, bo wciąż jeszcze czuła jakiś szacunek dla mego patetycznego przemówienia i górnego stylu — ale bardzo się

cieszę, że pan mi wszystko tak szczerze o sobie powiedział. Teraz znam pana doskonale, na wskroś. I wie pan co? Chcę panu opowiedzieć swoją własną historię, całą, bez ukrywania czegokolwiek, a pan mi za to później poradzi, jak mam postąpić. Pan jest bardzo mądry; pan mi obiecuje, że mi pan później poradzi?

— Ach, panno Nastusiu — odpowiedziałem — chociaż nigdy nie byłem niczym doradcą, a tym bardziej mądrym doradcą, ale teraz widzę, że jeżeli zawsze będziemy tak postępować, to będzie bardzo mądre i damy sobie wzajemnie mnóstwo dobrych rad! Śliczna moja panno Nastusiu, jakąż mam panią dać radę? Niech pani mówi otwarcie; teraz jestem taki wesoły, szczęśliwy, śmiały i rozumny, że słów nie będę dłucho szukać.

— Nie, nie! — przerwała Nastusia, śmiejąc się — potrzebna mi nie tylko rada mądra, potrzebna mi rada serdeczna, braterska, tak jakby pan przez całe życie mnie kochał!

— Dobrze, panno Nastusiu, dobrze! — zawałałem w zachwycie — i nawet gdybym kochał panią już od dwudziestu lat, riie kochałbym mocniej niż teraz!

— Proszę mi podać rękę! — powiedziała Nastusia. •

— Oto ręka! — odpowiedziałem podając jej dłoń.

— A więc przystąpimy do mojej historii.

## Historia Nastusi

— Połowę mojej historii już pan zna, to zna-  
czy wie pan, że mam starą babcię.

— Jeżeli druga połowa jest tak samo krótka  
jak ta... — przerwałem jej śmiejąc się.

— Proszę być cicho i słuchać. Przede wszystkim umowa: niech mi pan nie przerywa, bo jeszczem się gotowa pomylić. No, niech pan słucha spokojnie. Mam starą babcię. Dostałam się do niej jeszcze jako mała dziewczynka, bo rodzice mnie odumarli. Babka chyba dawniej była bogatsza, bo i teraz wspomina lepsze czasy. Nauczyła mnie francuskiego, a potem zgodziła do mnie nauczyciela. Kiedy miałam piętnaście lat (a teraz mam siedemnaście), przestałam się uczyć. Otóż wtedy coś spłociłam, ale co, tego panu nie powiem; dość, że moja wina nie była zbyt wielka. Tylko babka zawała mnie do siebie pewnego poranka i powiedziała, że ponieważ jest ślepa, więc nie będzie mogła mnie upilnować, wzięła agrafkę i przyczepiła moją sukienkę do swojej, mówiąc, że tak będąśmy razem siedziały przez całe życie, jeżeli się nie poprawię. Słowem, z początku w żaden sposób nie mogłam odejść i musiałam pracować, czytać, uczyć się — wciąż przy babce. Spróbowałam raz użyć podstępu i umówiłam się z Teklą, żeby siadła na moim miejscu. Tekla to nasza służąca, całkiem głucha.

Tekla usiadła zamiast mnie; babka wtedy zasnęła w fotelu, a ja poszłam niedaleko do przyjaciółki. No i źle to się skończyło. Babka obudziła się, kiedy mnie nie było, i o coś zapytała, myśląc, że wciąż jeszcze siedzę grzecznie na miejscu. Tekla widzi, że babka o coś pyta, ale nie słyszy o co, myślała, myślała i nie wiedząc co robić, odpięła agrafkę i uciekła...

Tu Nastusia przerwała i zaczęła się śmiać. Roześmiałem się i ja. Natychmiast umilkła.

— Proszę pana, niech pan się nie wyśmiewa z babki. Ja się śmieję, bo to zabawne... Cóż robić, kiedy babka, doprawdy, jest już taka, a tylko ja jedna ją trochę kocham. No, wtenczas mi się dostało: posadziła mnie znowu obok siebie i już ani, ani — ruszyć się nie mogłam. Ale zapomniałam panu powiedzieć, że mamy, a właściwie babka ma własny dom, małeńki, trzyokienny zaledwie domek, cały drewniany i taki stary jak babka: a na górze jest facjatka. Otóż wprowadził się do nas na facjatkę nowy lokator...

— A więc był i stary lokator — zauważyłem mimochodem.

— Naturalnie, że był — odpowiedziała Nastusia — i to taki, który umiał lepiej od pana mówić. Co prawda ledwie już poruszał językiem. To był staruszek, chudy, niemy, ślepy, kulawy, tak że w końcu nie mógł już żyć na tym świecie, no i umarł; a potem potrzebowaliśmy nowego lo-

katora, bo bez lokatora nie dałybyśmy sobie rady: to wraz z pensją babki prawie cały nasz dochód. Nowy lokator, jakby naumyślnie, był to człowiek młody, nietutejszy, przyjezdny. Ponieważ się nie targował, więc babka oddała mu pokój, a później pyta: „A co, Nastusiu, nasz lokator młody czy nie?” Nie chciałam kłamać. „Tak, proszę babci — mówię — niezupełnie młody, ale i nie stary”. „No, a miękę powierzchowności?” — pyta babka. Znowu nie chcę kłamać. „Tak — mówię — miękę powierzchowności, babciu!” A babka powiada: „Ach! Nieszczęście, nieszczęście! Ja ci to, wnuczko, po to mówię, żebyś mu się zanadto nie przyglądała. Ach, co za czasy! Widzisz, taki dobry lokator, i to miękę powierzchowności: to nie to, co dawniej!”

Babka wszystko by chciała jak dawniej! I młodszego była dawniej, i słońce dawniej lepiej grzało, i śmietana dawniej nie tak prędko kwaśniała — wszystko dawniej! Otóż siedzę i myślę, a myślę sobie: czemuż to babka sama mi takie myśli podsufa, pyta, czy lokator ładny, czy młody? Tak sobie to tylko pomyślałam i zaraz znów zaczęłam rachować oczka, robić pończochy, a później całkiem o tym zapomniałam.

Otoczonego razu z rana przychodzi do nas lokator zapytać, kiedy mu wedle obietnicy wytapetują pokój. Słowo po słowie, a babka jest gadałliwa, i mówi: „Idź, Nastusiu, do mnie do sy-

pialni i przynieś liczydła". Zaraz się zerwałam, nie wiem dlaczego, zaczerwieniłam się i zapomniałam, że jestem przyczepiona; zamiast ukradkiem odczepić tak, żeby lokator nie widział — porwałam się gwałtownie, aż fotel babki pojechał. Kiedy zobaczyłam, że lokator wszystkiego teraz o mnie się dowiedział, zaczerwieniłam się, stanęłam jak wryta i nagle rozpłakałam się — tak mi się zrobiło gorzko i wstyd w owej chwili, że świata nie chciałam oglądać! Babka woła: „Czemu Stoisz?" A ja jeszcze bardziej... Lokator, gdy zobaczył, że się go wstydzę, ukłonił się i zaraz wyszedł!

Od tego czasu, niech tylko usłyszę hałas w sieni, jestem jak nie żywa. Oto, myślę sobie, idzie lokator — i ukradkiem, na wszelki wypadek, odpinam agrafkę. Ale to wciąż był nie on, nie przychodził. Minęły dwa tygodnie; lokator zawiadał przez Tekłę, że ma u siebie dużo francuskich książek i że wszystko to dobre książki, które można czytać, więc czy babka nie zechciałaby, żebym jej poczytała, żeby się nie nudziło? Babka zgodziła się z wdzięcznością, tylko wciąż pytała, czy to aby moralne książki. „Bo jeżeli książki są niemoralne, to ty, Nastusiu — powiada — nie możesz ich czytać: złego byś się nauczyła".

— Czego takiego bym się nauczyła, babciu? Co tam napisane?

— A — powiada — jest w nich opisane, jak

młodzi ludzie gorszą porządne panny, jak pod pozorem, że chcą się z nimi ożenić, uwożą je z rodzicielskiego domu, jak później zostawiają te nieszczęsne dziewczyny na pastwę losu — i one giną w opłakany sposób. Ja — powiada babka — dużo takich książek czytałam i wszystko w nich — powiada — wszystko jest tak ślicznie opisane, że całą noc można nad nimi przesiedzieć. A więc, Nastusiu — powiada — pamiętaj, żebyś ich nie czytała. Jakie to — powiada — książki przysiąał?

— Same romanse Waltera Scotta, babciu.

— Romanse Waltera Scotta! O, czy aby nie ma w tym jakiego podstępu? Popatrz no, czy nie włożył do nich jakiej kartki z oświadczeniami?

— Nie, babciu — powiadam — nie ma żadnej kartki.

\*

— Popatrz no pod okładkę; oni czasem pod okładkę wpychają, łotry!

— Nie, babciu, i pod okładką nic nie ma.

— No, no, doprawdy!

No i zaczęłyśmy czytać Waltera Scotta i w ciągu niespełna miesiąca przeczytałyśmy prawie połowę. Później jeszcze nam kilka razy przysyłał książki, przysłał Puszkinę, aż w końcu nie mogłam już żyć bez książek i przestałam myśleć, jak by wyjść za chińskiego księcia.

Taki był stan rzeczy, gdy pewnego razu zdziyło mi się spotkać naszego lokatora na scho-

dach. Babcia mnie po coś posłała. On się zatrzymał. Zaczerwieniłam się i on się zaczerwienił; ale roześmiał się, przywitał, zapytał o zdrowie babci i powiada: „Cóż, przeczytała pani książki?” Ja odpowiadam: „Przeczytałam”. „I cóż — powiada — najbardziej się pani podobało?” A ja mówię: „Najbardziej mi się podobali: *Iwanhoe* i *Puszkin*”. Tym razem na tym się skończyło.

Po upływie tygodnia znowu mnie spotkał na schodach. Tym razem babcia mnie nie posyłała, tylko sama po coś poszłam. Była trzecia, a lokator o tej porze wracał do domu. „Dzień dobry!” — powiada. I ja do niego: „Dzień dobry!”

— I cóż — powiada — nie nudzi się pani cały dzień siedzieć razem z babcią?

Kiedy mnie o to zapytał, nie wiem dlaczego zaczerwieniłam się, zawstydziłam się i znowu zrobiło mi się przykro, widocznie dlatego, że już olbcy zaczęli o te sprawy rozpytywać. Chciałam już nie odpowiedzieć i odejść, ale sił mi brakło.

— Proszę pani — powiada — pani jest dobra dziewczyna! Niech mi pani wybaczy, że tak mówię, ale zapewniam, że lepiej pani życzę niż babcia. Czy pani nie ma żadnych przyjaciółek, do których by mogła pójść w odwiedziny?

Ja mu mówię, że nie mam żadnych, że była jedna, Maszeńka, ale i ta wyjechała do Pskowa.

— Proszę pani — powiada — czy chce pani pójść ze mną do teatru?

— Do teatru! A cóż babcia na to powie?

— To niech pani — powiada — pójdzie po kryjomu przed babcią.

— Nie — powiadam — nie chcę babci oszukiwać. Do widzenia!

— No, do widzenia! — powiada, i nic już nie dodał.

Dopiero po obiedzie przyszedł do nas: usiadł, długo rozmawiał z babcią, rozpytywał, czy gdzie wyjeźdża, czy ma jakich znajomych, i nagle powiada:

— Wziąłem dzisiaj lożę do opery; dają *Cyrulika sewilskiego*. Znajomi chcieli pójść, ale później wymówili się i bilet mi pozostał.

— *Cyrulika sewilskiego* — zawała babcia.

— Czy to ten sam *Cyrulik*, którego dawniej dawali?

— Tak — powiada — ten sam. — I spojrzał na mnie. Wszystko już zrozumiałam, zaczerwieniłam się i serce zaczęło mi mocno bić z oczekiwania!

— No jakże — mówi babcia — jakżebym nie знаła! Sama dawniej w teatrze amatorskim grałam Rozyne!

— Więc czy nie chciałaby pani pójść dzisiaj?

— powiedział lokator. — Bo inaczej bilet mi się zmarnuje.

— Ano, może i pójdziemy — powiada babcia

— dlaczego nie? O, moja Nastusia nigdy jeszcze nie była w teatrze.

Mój Boże, co za radość! Natychmiast zebrałyśmy się, oporządzły i pojechaliśmy. Babcia, chociaż ślepa, miała jednak ochotę posłuchać muzyki, poza tym to dobra staruszka: najbardziej mnie chciała sprawić przyjemność, same nigdy byśmy się nie wybrały. Jakie wrażenie na mnie sprawił *Cyrulik sewilski* — nie mogę panu powiedzieć; ale nasz lokator przez cały ten wieczór patrzył na mnie tak dobrze, tak mile mówił, że zaraz zmiarkowałam, że z rana chciał mnie tylko wybadać, proponując, żebym sama z nim pojechała. Ach, co za radość! Położyłam się spać taka dumna, taka wesoła, serce mi tak biło, aż dostałam gorączki i przez całą noc bredziłam o *Cyruliku sewilskim*.

Myślałam, że potem będzie nas coraz częściej odwiedzać — ale było inaczej. Prawie zupełnie przestał przychodzić. Przyjdzie mniej więcej raz na miesiąc, i to tylko po to, żeby zaprosić do teatru. Później dwa razy jeszcze byliśmy. Tylko że z tego to już wcale nie byłam zadowolona. Zauważałam, że mu po prostu było mnie żal, że jestem w takiej niewoli u babki, i nic więcej. I tak dalej, i tak dalej, aż coś mnie napadło: ani nie mogę usiedzieć, ani czytać, ani nic robić, czasem się roześmieję i babci coś robię na złość, to znów płaczę. Wreszcie zmizerniałam i omal się

nie rozchorowałałam. Sezon operowy się skończył i lokator zupełnie przestał do nas przychodzić; a kiedyśmy się spotykali — naturalnie, zawsze na tych samych schodach — to tylko się w milczeniu ukłoni tak poważnie, jakby nawet mówić nie chciał, wejdzie już na piętro, a ja wciąż jeszcze stoję w połowie schodów, czerwona jak wiśnia, bo krew zaczynała mi się rzucać do głowy, gdy go spotykałam.

Teraz niedługo koniec. Akurat rok temu, w maju, przychodzi do nas lokator i mówi babci, że załatwił tu już zupełnie swoje sprawy i że musi znowu jechać na rok do Moskwy. Kiedy to usłyszała, pobladłam i upadłam na krzesło jak nie żywa. Babcia nic nie zauważała, a on, oświadczyszy, że wyjeżdża, ukłonił się i wyszedł.

Cóż miałam robić? Myślałam i myślałam, martwiłam się i martwiłam, no i wreszcie zdecydowałam się. Następnego dnia miał wyjechać, a ja postanowiłam, że wszystko skończę wieczorem, kiedy babcia pójdzie spać. Tak też się stało. Związałam w węzełek wszystkie ubrania, jakie miałam, tyle bielizny, ile było potrzeba, i z węzełkiem w ręku, na pół żywą, poszłam na facjatkę do naszego lokatora. Myśle, że szłam po schodach chyba całą godzinę. A kiedy otworzyłam drzwi, on aż krzyknął, patrząc na mnie. Myślał, że to jakieś widmo, i podbiegł podać mi wody, bo ledwie się trzymał na nogach. Serce mi tak biło,

że aż głowa bolała i zmysły mi się mąciły. A kiedy się ocuciłam, zaczęłam po prostu od tego, że położyłam węzełek na jego łóżku, usiadłam obok niego, ukryłam twarz w dłoniach i rozpłakałam się rzemistymi łzami. Zdaje się, że on od razu wszystko zrozumiał, stał przede mną blady i tak smutno patrzył na mnie, że serce mi się krajało.

— Proszę pani — powiada — panno Nastusiu, ja nic nie mogę zrobić; jestem biedny; nie mam na razie nic, nawet porządnej posady; jakże będziemy żyć, jeżeli się nawet ożenię z panią?

Długośmy rozmawiali, lecz ja w końcu straciłam panowanie nad sobą, powiedziałam, że nie mogę żyć u babci że ucieknę od niej, że nie chcę, żeby mnie przyczepiano agrafką, i że jeśli zechce, pojadę z nim do Moskwy, bo bez niego żyć nie mogę. I wstyd, i miłość, i duma, wszystko razem mówiło przecie mnie i ormai nie w konwulsjach upadłam na łóżko. Tak się bałam odmowy!

Kilka minut siedział w milczeniu, potem wstał, podszedł do mnie i wziął mnie za rękę.

— Niech pani posłucha, moja dobra, moja droga panno Nastusiu! — powiedział również przez łzy — niech pani posłucha. Przysięgam pani, że jeżeli kiedykolwiek będę mógł się ożenić, to tylko z panią: zapewniam panią, że teraz tylko pani jedna może mi stworzyć szczęście. Proszę pani: jadę do Moskwy i będę tam akurat rok. Spodzie-

wam się, że zdołam pomyślnie ułożyć moje interesy. Gdy wróczę, i jeżeli pani nie przestanie mnie kochać, przysięgam pani, że będziemy szczęśliwi. A teraz to niemożliwe, nie mogę, nie mam prawa czegokolwiek obiecywać. Ale powtarzam: jeżeli nie za rok, to przecież kiedyś to nastapi; naturalnie tylko wtedy, jeżeli pani nie wybierze innego, bo wiązać pani jakimkolwiek słowem nie mogę i nie śmiem.

Oto co mi powiedział i nazajutrz wyjechał. Postanowiliśmy nie mówić o tym babce ani słowa. On tak chciał. No więc teraz prawie skończona moja historia. Minął akurat rok. On przyjechał, jest tu już całe trzy dni i... i...

— I cóż? — zawałałem, nie mogąc się doczekać końca.

— I dotyczyas się nie zjawił! — odpowiedziała Nastusia jak gdyby z wysiłkiem — ani widu, ani słyszu...

Tu zatrzymała się, pomilczała chwilę, opuściła głowę i nagle, zasłoniwszy twarz rękami, zapłakała tak, aż mi się serce ścisnęło od tego płaczu.

Bynajmniej nie oczekwałem takiego zakończenia.

— • Panno Nastusiu — zacząłem boażliwym i łagodnym tonem. — Panno Nastusiu! Na Boga, niech pani nie płacze! Skąd pani wie? A może go jeszcze nie ma...

— Jest, jest! — podchwyciła Nastusia. — On

jest tutaj, wiem o tym. Umówiliśmy się wtedy jeszcze, tego wieczoru, w przeddzień jego wyjazdu. Kiedy już powiedzieliśmy sobie wszystko, co panu opowiedziałam, i umówiliśmy się, wyszliśmy tu przejść się, właśnie na to wybrzeże. Była dziesiąta: siedzieliśmy na tej ławce; nie płakałam już, było mi tak słodko słuchać tego, co on mówił... Powiedział, że natychmiast po przyjeździe przyjdzie do nas i jeżeli nadal będę go chciała, powiemy o wszystkim balbci. Teraz przyjechał, wiem o tym, i nie ma go, nie ma!

I znów zalała się łzami.

— Mój Boże! Czyż nie można w jakiś sposób pani dopomóc — zawałałem zrywając się z ławki, zrozpaczony. — Panno Nastusiu, czy nie mógłbym pójść do niego?

— Czy to możliwe? — spytała podnosząc nagle głowę.

— Nie, naturalnie, że nie! — odpowiedziałem, spostrzegłszy się. — Ale ot co: niech pani napisze list.

— Nie, to niemożliwe, to niemożliwe! — odpowiedziała stanowczo, ale już z opuszczoną głową, nie patrząc na mnie.

— Jak to niemożliwe? Dlaczego niemożliwe?

— ciagnąłem uchwyciwszy się tej myśli. — Wie pani, panno Nastusiu, jaki list! List, a list to różnica i... tak, panno Nastusiu, niech mi pani zaufa, niech mi pani zaufa! Nie dam pani złej rady.

Wszystko to można ułożyć! Pani zrobiła pierwszy krok, dlaczego więc teraz...

— Nie, nie! Wyglądałoby na to, że mu się narzucam...

— Ach, dobra moja panno Nastusiu! — przerwał, jej, nie ukrywając uśmiechu — ależ nie, przecież ma pani w końcu prawo, bo on pani obiecał. A i ze wszystkiego widzę, że to człowiek delikatny, że postąpił właściwie — ciagnąłem, coraz bardziej zachwycając się logiką własnej argumentacji — jakże on postąpił? Związał się obietnicą. Powiedział, że z nikim się nie ożeni oprócz pani, jeżeli w ogóle się ożeni; pani zaś pozostała zupełnie swobodę wycofania się choćby zaraz... W takim razie pani może zrównać pierwszy krok, pani ma prawo, pani ma nad nim przewagę, chociażby na przykład, gdyby pani zechciała zwolić go z danego słowa...

— Proszę pana, a jak by pan napisał?

— Co?

— Ten list.

— Ja bym tak napisał: „Szanowny Panie...”

— Czy to tak koniecznie trzeba: „Szanowny Panie”?

— Koniecznie! Zresztą, dlaczego by nie? Myślę, że...

— No, no! Cóż dalej?

— „Szanowny Panie! Przepraszam, że...” Zresztą nie, nie trzeba żadnych przeprosin! Tu sam

fakt wszystko tłumaczy; niech pani pisze po prostu: „Piszę do pana. Niech mi pan nie ma za złe tej niecierpliwości, ale przez cały rok byłam szczęśliwa nadzieją; czycz jestem winna, że nie mogę teraz znieść ani jednego dnia wątpliwości? Teraz, kiedy pan już przyjechał, może zmienił pan swoje zamiary. W takim razie ten list panu powie, że ja nie narzekam i nie potępiam pana. Nie potępiam pana za to, że nie mam mocy nad sercem pana; taki już mój los. Jest pan człowiekiem szlachetnym. Pan się nie wyśmieje i nie będzie się gniewał za te niecierpliwe słowa. Niech pan pamięta, że pisze je biedna dziewczyna, że jest sama, że nie ma kto jej nauczyć, ani jej poradzić i że ona nigdy nie umiała władać swym sercem. Ale niech mi pan nie bierze za złe, że do mojego serca choć na chwilę zakradła się wątpliwość, nie jest pan zdolny nawet w myśli skrzywdzić tej' która tak pana kochała i kocha".

— Tak, tak! To właśnie tak, jak myślałam! — zawała Nastusia i radość zabłysła w jej oczach.

— O! pan rozstrzygnął moje wątpliwości, sam Bóg mi pana zesłał! Dziękuję, dziękuję panu!

— Za co? Za to, że mnie Bóg zesłał? — odwiedzałem, patrząc z zachwytem na jej rozradowaną twarzyczkę.

— A choćby i za to.

— Ach, panno Nastusiu! Przecież niektórym lu-

dziom dziękujemy choćby i za to, że żyją razem z nami. Ja dziękuję pani za to, że panią spotkałem, za to, że przez całe moje życie będę panią pamiętał!

— No, dosyć, dosyć! A teraz ot co, niech pan posłucha: wówczas stanęła umowa, że gdy tylko on przyjedzie, natychmiast da o sobie znać, zostawiając dla mnie list w pewnym miejscu, u pewnych moich znajomych, ludzi dobrych i prostych, którzy nic o tym nie wiedzą; albo jeżeli nie będzie można napisać listu, bo w liście nie wszysłko można napisać, to tego samego dnia, kiedy przyjedzie, będzie tutaj punktualnie o dziesiątej. O jego przyjeździe już wiem; ale oto już trzeci dzień nie ma ani listu, ani jego. Odejść od babci z rana w żaden sposób nie mogę. Niech pan sam odda jutro mój list tym dobrym ludziom, o których panu mówiłam; a jeżeli będzie odpowiedź, to sam mi pan ją przyniesie wieczorem o dziesiątej.

— Ale list, IM! Przecież najpierw trzeba list napisać! W takim razie dopiero pojutrze wszystko to załatwimy.

— List... — odpowiedziała Nastusia, trochę zmieszana — list... ale...

Ale riie dokończyła. Najpierw odwróciła ode mnie twarzyczkę, zaczerwieniła się jak róża, i nagle poczułem w ręku list, widocznie już dawno napisany, zupełnie gotowy i zapieczętowany. Ja-

kieś znajome, mile, pełne wdzięku wspomnienie przemknęło mi przez głowę!

— R,o: Ro-s, i si-n,a: na...\* — zacząłem.

— Rosina! — zaśpiewaliśmy oboje, ja omal nie uściiskawszy jej z zachwytu, ona zaczewieniwszy się, jak tylko można, i śmiejąc się przez łzy, które jak perełki drżały na jej czarnych rzęsach.

— No, dosyć, dosyć! Teraz do widzenia! — powiedziała pośpiesznie. — Oto list, oto adres, pod który trzeba go zanieść. Żegnam pana! Do widzenia! Do jutra!

Mocno ścisała mi rękę, skinęła głową i pominęła w stronę swego zaułka. Długo stałem bez ruchu, odprowadzając ją wzrokiem.

— Do jutra! Do jutra!... — powiedziałem do siebie, gdy już znikła mi z oczu.

### Noc trzecia

Dzisiaj był smutny dzień, deszczowy, ciemny, jak moja przeszła starość. Gnębią mnie takie dziwne myśli, takie niewyraźne wrażenia, takie niejasne jeszcze dla mnie sprawy. Kłębda mi się

\* Rosina, Rozyna — bohaterka opery Rossiniego *Cyrulik seioński*.

w głowie — ale jakoś nie mam ani sił, ani chęci ich rozstrzygać. Nie ja to wszystko rozstrzygnę!

Dzisiaj nie zobaczymy się. Wczoraj, kiedyśmy się żegnali, chmury zasnuwały zaczęły niebo i podniosła się mgła. Powiedziałem, że nazajutrz będzie brzydki dzień; nie odpowiedziała, nie chciała mówić wbrew sobie; dla niej ten dzień jest i jasny, i promienny, i ani jedna chmurka nie zaćmi jej szczęścia.

— Jeżeli będzie deszcz, nie zobaczymy się — powiedziała — nie przyjdę.

Sądziłem, że nawet nie zauważała dzisiejszego deszczu, a tymczasem nie przyszła.

Wczoraj mieliśmy trzecie spotkanie, naszą trzecią białą noc...

Jak jednak radość i szczęście czynią człowieka pięknym! Jak serce płonie miłością! Pragnęlibyśmy jakby całe nasze serce oddać drugiej istocie, chcielibyśmy, żeby wszystko było wesołe, żeby wszystko się śmiało. A jaka zaraźliwa jest ta radość! Wczoraj w jej słowach było tyle tkliwości, tyle dobroci... Jak się o mnie troszczyła, jak się przymilała, jak dodawała otuchy i łagodziła mój żal! O, ile kokieterii ze szczęścia! A ja... Ja przyjmowałem wszystko za dobrą monetę, myślałem, że ona...

Ale, mój Boże, jakże mogłem tak myśleć? Jakże mogłem być tak ślepym, gdy wszystko już zabrał ktoś inny, gdy wszystko było nie moje; gdy

wreszcie nawet ta jej czułość, troskliwość, miłość... tak, miłość do mnie — była niczym innym, jak radością z powodu rychłego zobaczenia się z innym, pragnieniem, by i mnie się coś dostało z jej szczęścia?... Gdy nie przyszedł, gdyśmy cześli na próżno, zasępiła się, onieśmieliła i zatrwożyła. Jej ruchy, jej słowa nie były już tak lekkie, rozbawione i wesołe. I dziwna rzecz — podwoiła zainteresowanie mną, jak gdyby instynktownie pragnąc przelać na mnie to, czego sama pragnęła dla siebie, o co się sama obawiała, że się nie stanie. Moja Nastusia tak się onieśmieliła, tak naślraszyła, że zrozumiała chyba wreszcie, iż ją kocham, i złitowała się nad moją biedną miłością. Tak, kiedy jesteśmy nieszcześliwi, silniej odczuwamy nieszczęście innych; uczucie nie rozprasza się, lecz skupia...

Przyszedłem do niej z wezbranym sercem i ledwie się doczekałem spotkania. Nie przeczuwałem, czego będę teraz doznawał, nie przeczuwałem, że wszystko to tak się skończy. Ona jaśniała radością, oczekiwając odpowiedzi. Odpowiedział był on sam. Powinien był przyjść, przybiec na jej wezwanie. Przyszła o całą gddzinę wcześniej ode mnie. Z początku wciąż chichotała, śmiała się przy każdym moim słowie. Zacząłem mówić i umilkłem.

— Wie pan, z czego się tak cieszę? — powiedziała. — Cieszę się z tego, że patrzę na pana.

Tak pana dzisiaj lubię.

— Doprawdy? — zapytałem i serce mi zadrżało.

— Dlatego pana lubię, że pan się we mnie nie zakochał. Przecież każdy inny na pana miejscu zacząłby mnie prześladować, przyczepiać się, rozejchałby się, rozchorował, a pan taki miły!

Tu tak mocno ścisnęła mi rękę, że omal nie krzyknąłem. Roześmiała się.

— Boże! Prawdziwy z pana przyjaciel! — zaczęła po chwili bardzo poważnie. — Przecież to Bóg mi pana zesłał! No, co by się ze mną stało, gdyby pana teraz nie było przy mnie? Jaki pan bezinteresowny! Jak pan mnie szczerze lubi! Kiedy wyjdę za mąż, będziemy się bardzo przyjaźnić, bardziej niż bracia. Będę pana kochać prawie tak jak jego...

Zrobiło mi się jakoś strasznie smutno w tej chwili; ale coś podobnego do śmiechu drgnęło mi w duszy.

— Pani źle myśli — powiedziałem — pani tchórzy: pani myśli, że on nie przyjdzie.

— Proszę pana — odpowiedziała — gdybym była mniej szczęśliwa, pewno bym się rozpłakała przez to pańskie niedowiarstwo i te wymówki. Zresztą to, co pan mówi, nasunęło mi pewne myśli; ale później pomyślę, a teraz przyznam, że ma pan słuszność. Tak! Jestem jakaś nieswoja;

jestem całkowicie zajęta oczekiwaniem i jakoś zbyt lekko wszystko trakluję. Ale Idość tego, nie mówmy już o uczuciach!...

W tej chwili rozległy się kroki i w ciemności ukazał się przechodzień idący naprzeciw nas. Oboje drgnęliśmy; ona omal nie krzyknęła. Puściłem jej rękę i zrobiłem gest, jak gdybym chciał odejść. Ale omyliśmy się: to nie był on.

— Czego się pan boi? Dlaczego pan puścił moją rękę? — zapytała, podając md dłoń. — No cóż? Przywitamy go razem. Ohcę, żeby wiedział, jak my się wzajemnie lubimy.

— Jak my się wzajemnie luibimy! — zawałałem.

„O Nasfcusiu, Nastusiu! — pomyślałem sobie — jak wiele przez to powiedziałaś. Pod wpływem takiej wzajemności czasami oziebia się serce i robi się ciężko na duszy. Twoja ręka jest zimna, a moja gorąca jak ogień. Jaka jesteś zaslepiona, Nastusiu!... O, jak nieznośny bywa czasami człowiek szczęśliwy! Ale nie mogłem się na ciebie gniewać!”

Wreszcie nie mogłem już dłużej milczeć.

— Panno Nastusiu! — zawałałem — czy pani wie, co się ze mną działo przez cały dzień?

— No cóż takiego? Niechże pan czym przedzej opowiada! Dlaczego pan dotychczas nic n'ie mówi!

— Kiedy spełniłem wszystkie pand polecenia, oddałem list, byłem u tych dobrych ludzi, póź-

niej... później poszedłem do domu i położyłem się spać.

— Tylko tyle? — przerwała mi, śmiejąc się.

— Tak, prawie tylko tyle — odpowiedziałem, opanowując się, bo już w oczach zbierały mi się głupie łzy. — Obudziłem się na godzinę przed naszym spotkaniem, ale jak gdybym wcale nie spał. Nie wiem, co mi się sitało. Szedłem, iżebey to wszy&tka pani opowiedzieć, jak gdyby się dla mnie czas zatrzymał, jak gdyby pewne wrażenie, pewne uczucie miało pozostać we mnie od tej chwili na zawsze... jak gdyby jedna chwila miała sę ciągnąć całą wieczność i jak gdyby całe życie się dla mnie zatrzymało... Kiedy się obudziłem, wydało mi się, że przypomniałem sobie teraz jakiś mdtyw muzyczny, znany od dawna, słyszany gdzieś dawno, zapomniany i słodki. Wydało mi się, że ten motyw przez całe życie wyrywał mi się z duszy d dopiero teraia...

— Ach, mój Boże, mój Boże! — przerwała Nastusia. — Cóż to wszystko znaczy? Nie rozumiem ani słowa.

— Ach, panno Nastusiu! Chciałem w jakiś sposób odtworzyć pani to dziwne wrażenie... — zacząłem żałosnym głosem, w którym była jeszcze ukryta nadzieja, chociaż bardzo daleka.

— Dosyć, dosyć, niech pan przestanie! — powiedziała i w jednej chwili domyślała się wszystkiego, filutka!

Stała się nagle jakoś niezwykle rozmowna, we-soła, żartobliwa. Wzięła ramię pod rękę, śmiała się, chciała, żebym i ja się śmiały, i na każde moje wzruszone słowo odpowiadała ftafoim dźwięcznym, takim długim śmiechem. Byłem już zły, a ona nagle zaczęła mnie kokietować.

— Proszę pana — zaczęła — jednak mi trochę przykro, że pan się we mnie nie zakochał. Mimo wszystko, mój panie nieugięty, nie może pan nie pochwalić mnie za to, że jestem taka szczerza. Mówię panu wszystko, wszystko bez względu na to, jakie głupstwo przyjdzie mi 'do głowy.

— Wie pani! Zdaje się, że już jedenasta — powiedziałem, gdy miarowy dzwon dzwonu zatrzymał z dalekiej wieży. Nagle zamilkła, przestała się śmiać i zaczęła rachować.

— Tak, jedenasta — powiedziała wreszcie lekkiwym, niepewnym tonem.

Natychmiast żal mi się zrobiło, że ją przestraszyłem, zmusiłem do liczenia uderzeń zegara i sam przeklinałem siebie za napad złości. Ogarnął mnie smutek z jej powodu i nie wiedziałem, jak zmazać swą winę. Zacząłem ją pocieszać, doszukiwać się przyczyn jego nieobecności, przytaczać różne dowody, argumenty. Nikogo nie można było łatwiej oszukać niż ją w tej chwili, a zresztą każdy w takiej chwili z przyjemnością słucha jakiekolwiek pociechy i jest szczęśliwy, jeżeli znajdzie się chociaż cień usprawiedliwienia.

— Przecież to po prostu śmieszne — zacząłem, coraz bardziej się gorączkując i ciesząc się z niezwykłej jasności moich poglądów — przecież on nawet nie mógł przyjść! Pani i mnie w błąd wprowadziła, panno Nastusiu, 'tak że straciłem miarę czasu... Niech pani tylko pomyśli: przecież zaledwie mógł otrzymać list; przypuśćmy, że nie mógł przyjść, przypuśćmy, że napisze odpowiedź, a w takim razie list nadjeździe nie wcześniej niż jutro. Pójdę po list jutro skoro świt i natychmiast dam pani znać. Niech pani weźmie pod uwagę wreszcie tysiące możliwości: że go nie było w domu, kiedy nadszedł list, i może dotychczas jeszcze go nie czytał! Przecież wszystko może się zdarzyć.

— Tak, tak! — odpowiedziała Nastusia — nawet nie pomyślałam o tym; naturalnie, że wszystko może się zdarzyć — ciągnęła jak najbardziej zgodnym tonem, w którym jak przykry dysonans słyszać było jaką inną, daleką myśl. — Wie pan co — ciągnęła dalej — niech pan idzie jutro możliwej najwcześniej i jeżeli pan cokolwiek otrzyma, proszę mi natychmiast dać znać. Przecież pan wie, gdzie mieszkam. — I przypomniała mi swój adres.

Później stała się nagle taka tcliwa, taka nieśmiała wobec mnie... tNa pozór słuchała uważnie, co jej mówiłem, ale kiedy zwróciłem się do niej z jakimś pytaniem, nic nie odpowiedziała, zmie-

szała się i odwróciła główkę. Zajrzałem jej w oczy — tak jest: płakała.

— No, czy tak można, czy tak można? Ach, jaki z pani dzieciak! Co za dzieciństwo!... Proszę przestać!

Spróbowała się uśmiechnąć, uspokoić się, ale podbródek jej się trząsł i pierś wciąż falowała.

— Myślę o panu — powiedziała mi po chwili milczenia — pan taki dobry, że byłabym z kamienia, gdybym tego nie czuła. Wie pan, co mi przyszło teraz do głowy? Porównywałam was obu. Dlaczego on nie jest panem? Dlaczego on nie jest taki jak pan? On jest gorszy od pana, chociaż kocham go bardziej niż pana.

Nic nie odpowiedziałem. Czekała, zdaje się, że bym coś powiedział.

— Naturalnie, że pewno niezupełnie go jeszcze zrozumiałam, niedostatecznie go jeszcze znam. Wie pan, zawsze jakbym się go bała: zawsze był taki poważny, nawet jakby dumny. Naturalnie, wiem, że to tylko z pozoru, że w jego sercu jest więcej tkliwości niż w moim... Przypominam sobie, jak spojrzał na mnie wówczas, gdy — pamięta pan? — przyszłam do niego z zawiniątkiem; ale jakoś go za bardzo szanuję, a przecież to było znaczyło, że nie jesteśmy sobie równi?

— Nie, panno Nastusiu, nie — odpowiedziałem — to znaczy, że pani go kocha bardziej niż wszystko na świecie i o wdele bardziej niż siebie.

— Tak, chyba to tak — odpowiedziała naiwna Nastusia — ale wie pan, co mi przyszło do głowy? Tylko że teraz nie będę o nim mówić, ale tak w ogóle: wszystko to już dawno przychodziło mi na myśl. Proszę pana, dlaczego my wszyscy nie jesteśmy ze sobą jak bracia? Dlaczego nawet najlepszy człowiek zawsze jakby coś kryje przed innym i milczy w jego obecności? Dlaczego nie powiedzieć po prostu natychmiast tego, co się ma na sercu, jeżeli się wie, że to słowa nie na wiatr. Bo każdy tak wygląda, jałtoby był surowszy, niż jest w rzeczywistości, i wszyscy jakby się bali urazić swoje uczucia, skoro je od razu wypowiedzą...

— Ach, panno Nastusiu! Ma pani słuszność; ale przecież na to składa się wiele powodów — przerwał, sam bardziej niż kiedykolwiek hamując w owej chwili swoje uczucia.

— Nie, nie! — odpowiedziała z głębokim przejęciem. — O, pan, na przykład, nie jest taki jak inni. Doprawdy nie wiem, jak toy to panu powiedzieć, co czuję: ale zdaje mi się, że pan... na przykład... choćby teraz... zdaje mi się, że pan coś dla mnie poświęca — dodała nieśmiało, spojrzawszy na mnie ukradkiem. — Niech mi pan wybaczy, że Itak mówię: przecież ja jestem prosta dziewczyna, mało jeszcze świata widziałam i doprawdy czasami nie umiem mówić — dodała drżącym głosem pod wpływem jakiegoś skrytego uczucia.

równocześnie starając się uśmiechnąć — ale chciałam tylko powiedzieć panu, że jestem wdzięczna, że ja również wszystko to czuję... O, niech panu Bóg da za to szczęście. To, co mi pan naopowiadał wtedy o pańskim marzycielu, to zupełnie nieprawda, a raczej, chciałam powiedzieć, to się zupełnie pana nie tyczy. Pan wraca do zdrowia, pan doprawdy jest zupełnie innym człowiekiem niż ten, którego pan opisywał. Jeżeli pan kiedy pokocha, niech panu Bóg da z nią szczęście! A jej nic nie życzę, bo ona będzie z panem szczęśliwa. Wiem to, sama jestem kobietą, i ipowdnen mi pan wierzyć, skoro tak mówię.

Umilkła i mocno uścisnęła mi dłoń. Ja również nie mogłem mówić ze wzruszenia. Minęło kilka chwil.

— Tak, widocznie dzisiaj nie przyjdzie! — powiedziała w końcu, podnosząc głowę. — Za póżno!...

— Przyjdzie jutro — powiedziałem jak najbardziej przekonującym i stanowczym tonem.

— Tak — dodała poweselawszy — sama teraz widzę, że przyjdzie dopiero 'jutro. No więc do widzenia! Do jutra! Jeżeli będzie deszcz, to może nie przyjdę. Ale pojutrze przyjdę na pewno, cokolwiek by się ze mną zdarzyło; niech pan tu będzie koniecznie: chcę pana zobaczyć, wszystko panu opowiem.

A później, kiedyśmy się żegnali, podała mi rękę i powiedziała, jasno spojrzawszy na mnie:

— Przecież my odtąd zawsze będziemy razem, prawda?

O Nastuisiu, Nastusiu! gdybyś ty wiedziała, jak bardzo jestem teraz samotny!

Gdy wybiła dziewiąta, nie mogłem usiedzieć w domu, ubrałem się i wyszedłem, nie zważając na niepogodę. Byłem tam, siedziałem na naszej ławce. Poszedłem nawet w stronę ich zaułka, ale wstyd mi się zrobiło i wróciłem, nie spojrzawszy w ich okna, nie doszedłszy dwóch kroków do ich domu. Wróciłem do siebie tak przygnębiony, jak nigdy dotąd. Jaki deszczowy, przykry czas. Gdyby była ładna pogoda, przespacerowałbym całą noc...

Ale do jutra, do jutra! Jutro ona mi wszystko opowie. A jednak listu dziś nie było. Zresztą, tak być powinno. Oni są już razem.

#### Noc czwarta

Boże, jak się to wszystko skończyło! Czym się to wszystko skończyło!

Przyszedłem o dziewiątej. Ona już była. Idąc, z daleka ją zauważylem; stała, jak wtedy, za pierwszym razem, oparta łokciami o balustradę bulwaru i nie słyszała, jak do niej podszedłem.

— Panno Nastusiu! — zwołałem, tłumiąc przemocą wzruszenie.

Szybko odwróciła się do mnie.

— No i co — powiedziała — no i co! Prędzej! Patrzyłem na nią ze zdumieniem.

— No, gdzie list? Przyniósł pan list? — powtórzyła chwytając się balustrady.

— Nie, nie mam listu — powiedziałem wreszcie — czyżby go dotąd nie było?

Okropnie pobladła i długo patrzyła na mnie nieruchomo. Odebrałem jej ostatnią nadzieję.

— Ha, Bóg z nim! — rzekła wreszcie urywanym głosem. — Bóg z nim, jeśli w taki sposób mnie porzuca.

Spuściła oczy, później chciała spojrzeć na mnie, lecz nie mogła. Jeszcze kilka chwil opanowywała wzruszenie, lecz nagle odwróciła się, oparła się łykami o balustradę bulwaru i zalała się łzami.

— Nie trzeba, nie trzeba! — zacząłem, lecz brakło mi sił ciągnąć dalej, gdym patrzył na nią. Zresztą, co bym jej powiedział?

— Niech pan mnie nie pociesza — mówiła płacząc — niech pan o nim nie mówi, niech pan nie mówi, że on przyjdzie, że mnie nie porzucił tak okrutnie, tak nieludzko, jak to zrobił. Za co, za co? Czyżby coś było w moim liście, w tym nieszczęsnym liście?

Tu łkania odebrały jej głos; serce mi się rwało, gdym na nią patrzył.

— O, jakie to nieludzko okrutne! — zaczęła znowu. — Żeby chociaż odpowiedział, że mnie nie potrzebuje, że mnie odpycha; ale ani słowa przez całe trzy dni! Jak łatwo mu skrzywdzić, urazić biedną, bezbronną dziewczynę, która tym tylko zawiniła, że go kocha! O, ilem ja wycierpiała przez te trzy dni. Mój Boże! Mój Boże! Kiedy sobie przypomnę, że po raz pierwszy sama do niego przyszłam, że się poniżyłam przed nim, płakałam, że błagałam go chociaż o odrobinę miłości... I po tym wszystkim!... Proszę pana — zaczęła zwracając się do mnie i czarne jej oczy zблysły — to nie tak! To tak być nie może; to nienaturalne! Albo pan, albo ja jestem w błędzie: on może nawet nie odebrał listu? Jakże można, niech pan sam osądzi, niech pan mi powie, na Boga, niech pan mi wyjaśni, nie mogę tego zrozumieć, jak możlina tak po barbarzyńsku, ordynarnie postąpić, jak on postąpił ze mną! Ani słowa! Przecież dla ostatniego człowieka na świecie ma się więcej współczucia. A może on coś słyszał, może mu ktoś coś o mnie nagadał? — zwołała zwracając się do mnie. — Jak pan sądzi?

— Panno Nastusiu, pójdę jutro do niego w pani imieniu.

— No i co?

— O wszystko go zapytam, o wszystkim mu opowiem.

— No i co, no i co?

— Pani napisze list. Niech pani nie mówi: nie, panno Nastusiu, niech pani nie mówi: nie! Zmuszę go do uszanowania pani postępu, on się o wszystkim dowie — i jeżeli...

— Nie, mój przyjacielu, nie — przerwała mi.  
— Dość tego! Ani słowa więcej, ani jednego słowa ode mnie — dosyć! Ja go nie znam, ja go już nie kocham, ja o nim za...po...mnę...

Nie dokończyła.

— Niech się pani uspokoi, niech się pani uspokoi! Niech pani tutaj usiądzie, panno Nastusiu — powiedziałem, sadząc ją na ławce.

— Ależ jestem spokojna. To tylko tak! To łzy, to obeschnie! Czy pan myśli, że się zabiję, że się utopię?

Serce mi wezbrało bólem; chciałem mówić, lecz nie mogłem.

— Proszę pana — ciągnęła dalej, wziewawszy mnie za rękę — niech pan powie: czy pan iby tak postąpił? Pan by nie porzucił tej, która by sama do pana przyszła, pan by nie zaśmiał się jej w oczy z jej słabego, głupiego serca! Pan by ją oszczędził! Pan by pomyślał, że ona ibyla sama, że nie umiała się ustrzec od miłości do pana, że nie jest winna, że nie jest winna... że nic nie zrobiła... O mój Boże, mój Boże...

— Panno Nastusiu! — zawałałem wreszcie, nie mogąc opanować wzruszenia. — Panno Nastusiu! Pani mnie zadręcza! Pani zatruwa mi serce, pani

mnie zabija, panno Nastusiu! Nie mogę milczeć! Powiniensem w końcu mówić, wypowiedzieć to, co mi w sercu wezbrało.

Mówiąc to, wstałem z ławki. Nastusia wzięła mnie za rękę i spoglądała ze zdziwieniem.

— Co panu jest? — rzekła wreszcie.

— Niech pani posłucha! — powiedziałem stanowczo. — Niech pani mnie posłucha, panno Nastusiu! To, co będę teraz mówić, to wszystko głupstwa, bzdury! Wiem, że tego nigdy być nie może, aile nie mogę przecież milczeć. W imię tego, co panią teraz boli, zawczasu błagam, niech mi pani przebaczy!

— Ale cóż takiego? — powiedziała, przestając płakać i uważnie patrząc na mnie, podczas gdy niezwykłe zaciekawienie błyszczało w jej zdziwionych oczach. — Co się panu stało?

— To niedorzeczne, ale ja panią kocham, panno Nasitusiu! Ot co! No teraz już wszystko powiedziane! — rzekłem, machnąłszy ręką. — Teraz się pani przekona, czy może pani mówić ze mną tak jak przed chwilą, czy wreszcie może pani słuchać tego, co będę mówił...

— iNo cóż, no cóż z tego? — przerwała Nastusia — cóż z tego? Ja to od dawna wiedziałam, że pan mnie kocha, tylko że wciąż mi się zdawało, że pan mnie kocha jakoś tak, po prostu... Ach, mój Boże, mój Boże!

— Z początku było po prostu, panno Nastusiu,

a teraz, a teraz!... Jestem teraz w takim samym położeniu jak pani, kiedy przyszła pani do niego z węzełkiem. W gorszym niż pani położeniu, panno Nastusiu, bo on wtedy nikogo nie kochał, a pani kocha.

— Co też pan mi opowiada! Zupełnie pana nie rozumiem w końcu. Ale proszę pana, po co to tak, to znaczy, nie po co, tylko dlaczego pan tak — i to tak nagle... Boże! Głupstwa gadam! Ale pan...

I Nastusia całkiem się zmieszała. Policzki jej • zarumieniły się; spuściła oczy.

— Cóż robić, panno Nastusiu, cóż mam robić? Jestem winien, że... Ale nie, nie, nie jestem winien, panno Nastusiu; czuję to, bo serce mi mówi, że mam słuszność, bo nie mogę pani niczym urazić, niczym dotknąć! Byłem pani przyjacielem; no więc i teraz jestem przyjacielem: w niczym pani nie zawiodłem. Teraz łzy mi płyną, panno Nastusiu! Niech sobie płyną, niech sobie płyną — nikomu nie szkodzą. One wyschną, panno Nastusiu.

— Ale niechże -pan siada, niechże pan siada — powiedziała sadząc mnie na ławce. — Och, mój Boże!

— Nie, panno Nastusiu, ja nie usiądę; nie mogę zostać tu dłużej, pani już więcej nie może mnie widzieć; powiem wszystko i odejdę. Chcę tylko powiedzieć, że nigdy by się pani nie dowiedziała, że panią kocham. Nie zadręczę Cię pani w takiej chwili swym egoizmem. Nie! Ale ja teraz nie

mogę wytrzymać; pani sama zaczęła o tym mówić, pani jest winna, pani jest wszystkiemu winna, a ja nie jestem winien. Pani nie może odpędzić mnie od siebie...

— Ależ nie, ależ nie, nie odpędzę pana, nie! — mówiła Nastusia, ukrywając ze wszystkich sił swe zmieszanie, bledziutka...

— Pani mnie nie odpędza? A ja już sam chciałem od pani uciekać. I ja odejdę, tylko wszystko opowiem od początku, bo kiedy pani mówiła, to nie mogłem usiedzieć, kiedy pani płakała, kiedy pani desperowała dlatego, no dlatego (nazwę to już po imieniu, panno Nastusiu), dlatego że panią odękchnięto, dlatego że podeptano pani miłość, poczułem, że w moim sercu jest tyle miłości do pani, panno Nastusiu, tyle miłości!... I zrobiło mi się tak gorzko, że nie mogę pani pomóc ta miłością... że serce mi wezbrało tym uczuciem, i ja, ja nie mogłem milczeć, musiałem mówić, panno Nastusiu, musiałem mówić.

— Tak, tak! Niech pan mówi, niech pan tak ze mną mówi! — powiedziała Nastusia z nieokreślonym ruchem. — Pana to może dziwi/ że ja tak z panem mówię, ale... niech pan mówi! Później panu powiem! Opowiem panu wszystko!

— Pani mnie żałuje, panno Nastusiu; pani po prostu mnie żałuje, moja przyjaciółko! Co przepadło, to przepadło! Co raz powiedziane, nie da się cofnąć! Czyż nie tak? No więc teraz wie pani

wszystko. No więc tu jest punkt wyjścia. No dobrze.<sup>1</sup> Teraz wszystko jest ślicznie; niech więc pani posłucha. Kiedy pani siedziała płacząc, myślałem sobie (ach, niech mi pani da powiedzieć, co myślałem!), myślałem, że (naturalnie, że to niemożliwe, panno Nastusiu), myślałem, że pani... myślałem, że pani jakoś tam... no, w jakiś zupełnie inny sposób już go nie kocha. Myślałem tak i wczoraj, i onegdaj, panno Nastusiu, wtedy hym tak postąpił, na pewno bym postąpił tak, że pani by mnie pokochała: przecież pani sama mówiła, przecież pani sama powiedziała, panno Nastusiu, że pani mnie już prawie kocha. No i cóż dalej? To prawie wszystko, co chciałem powiedzieć; pozostało tylko powiedzieć, co by było wttedy, gdyby pani mnie pokochała, tylko to, nic więcej! Niech pani mnie posłucha, droga przyjaciółko — jestem naturalnie człowiekiem prostym, biednym, nic nie znaczącym, ale nie o to chodzi (ciągle mówię o czym innym ze wzruszenia, panno Nastusiu), tylko ja bym panią tak kochał, tak kochał, że gdyby pani nawet jeszcze kochała i nie przestała kochać tego, którego nie znam, zauważałaby pani jednak, że moja miłość jakoś pani ciąży. Pani by tylko słyszała, pani by tylko czuła w każdej chwili, że obok niej bije wdzięczne serce, wdzięczne serce, gorące serce, które dla pani... Och, panno Nastusiu! Co pani ze mną zrobiła!

— Niech pan nie płacze, nie chcę, żeby pan

płakał — powiedziała Nastusia, szybko wstając z ławki. — Chodźmy, niech pan wstanie, niech pan idzie ze mną, niech pan nie płacze, niech pan nie płacze — mówiła, ocierając mi łzy chusteczką — no chodźmy teraz: może coś panu powiem... Tak, skoro on już mnie porzucił, skoro o mnie zapomniał, chociaż go jeszcze kocham (nie chcę pana oszukiwać)... ale, proszę, niech mi pan odpowie. Gdybym na przykład pokochała pana, to znaczy, gdybym tylko... Och, mój przyjacielu, mój przyjacielu! Kiedy pomyślę, kiedy sobie pomyślę, że pana wtedy krzywdziłam, chwaląc za to, że pan się nie zakochał!... O Boże! Jakże ja tego nie przewidziałam, jakże mogłam nie przewidzieć, jakże mogłam być taka głupia, ale... ,No, zdecydowałam się, wszystko powiem...

— Panno Nastusiu, wie pani co? Odejdę od pani! Przecież ja panią tylko dręczę. Ot, teraz ma pani wyrzuty sumienia o to, że pani się wyśmiała, -a ja nie chcę, tak, nie chcę, żeby pani oprócz własnego zmartwienia... Naturalnie, że ja jestem winien, panno Nadtusiu, lecz żegnam!

— Niech pan nie odchodzi, niech pan mnie wysłucha: czy pan może czekać?

— Na co czekać, jak?

— Kocham go, ale to minie, to powinno minąć, to nie może nie minąć; to już mija, czuję to... Kto wie, może już dzisiaj się to skończy, dlatego że go nienawidzę, dlatego że on zadrwił ze mnie,

podczas gdy pan płakał tu razem ze mną, dlatego że pan nie porzuciłby mnie tak jak on, dlatego, że pan kocha, a on mnie nie kochał, dlatego że wreszcie sama kocham... Tak, kocham! Kocham, jak i pan mnie kocha; przecież sama to już panu dawniej powiedziałam, pan sam słyszał: kocham dlatego, że pan jest lepszy od niego, że pan jest szlachetniejszy od niego, dlatego, dlatego że on...

Wzruszenie biedaczki było tak silne, że nie dokończyła, położyła mi główkę na ramieniu, później na piersi i gorzko się rozpłakała. Pocieszałem ją, zagadywałem, ale nie przestawała płakać; wciąż ściskała moją rękę i mówiła wśród łkań:

— Niech pan zaczeka, niech pan zaczeka; zaraz przestanę! Chcę panu powiedzieć... żeby pan nie myślał, że te łzy... to tak przez słabość, niech pan zaczeka, to przejdzie... — W końcu uspokoiła się, otarła łzy i poszliśmy dalej. Chciałem już zacząć mówić, ale wciąż mnie prosiła, żelbym jeszcze zaczekał. Zamilkliśmy... W końcu skupiła się w sobie i zaczęła mówić.

— Ot co — zaczęła słałbym i drżącym głosem, w którym nagle zadźwięczało coś, co wpłynęło mi się w serce i słodko zabolało — niech pan nie myśli, że mogę tak prędko zapomnieć i zdradzić... Cały rok go kochałam i przysięgam na Boga, że nigdy, nigdy nawet w myśli go nie zdradziłam. Wzgardził tym; zadrwił sobie ze mnie — Bóg z nim!

Ale on mnie rozgoryczył i skrzywdził moje serce. Nie kocham go, dlatego że mogę kochać tylko to, co jest wielkoduszne, co mnie rozumie, co jest szlachetne; dlatego że sama jestem taka, a on mnie niewart — ale Bóg z nim! Nawet lepiej, że tak zrobił, niż gdybym się później zawiodła w swych \* oczekiwaniach i poznała jego wartość... No, skończone! Ale kto wie, mój dobry przyjacielu — ciągnęła dalej, ściskając moją rękę — kto wie, może cała moja miłość była z ludą uczuć, wyobraźni, może zaczęła się od figłów i głupstw, dlatego że byłam pod nadzorem babci. Może powinnam kochać innego, który "by mi współczuł i... i... ale dajmy temu spokój, dajmy spokój — przerwała Nastusia, zadyszawszy się ze wzruszenia — chciałam tylko panu powiedzieć... chciałam panu powiedzieć, że jeżeli mimo to, że kocham (nie: kochałam go), jeżeli mimo to pan jeszcze powie... Jeżeli pan czuje, że miłość pana jest tak wielka, że może usunąć z mego serca dawną... Jeśli pan zechce ulitować się nade mną, jeśli pan nie zechce pozostawić mnie samej losowi, bez pociechy, bez nadziei, jeśli pan zechce kochać mnie zawsze tak, jak teraz mnie pan kocha, to przysięgam, że wdzięczność... że miłość moja będzie w końcu godna pańskiej miłości... Czy weźmie pan teraz moją rękę?

— Panno Nastusiu! — zwołałem, krztusząc się od łkań — panno Nastusiu!... panno Nastusiu!

— No dosyć! — rzekła, z trudnością się opanowując — no teraz już wszystko powiedziane, prawda? Tak? No i pan jest szczęśliwy, i ja szczęśliwa: ale ani słowa o tym więcej; niech pan zaczeka, niech pan mnie oszczędzi... Na Boga, niech pan mówi o czym innym!

— Tak, panno Nastusiu, tak! Dosyć ó"tym, teraz jestem szczęśliwy... No, panno Nasfusiu, no, mówmy o czym innym, czym przedzej, czym przedzej mówmy; tak! Jestem gotów.

I nie wiedzieliśmy, co mówić, śmiałyśmy się, płakali; mówiliśmy tysiące słów bez związku i bez sensu; to chodziliśmy po trotuarze, to nagle wracaliśmy i przechodziliśmy przez ulice; później zatrzymywaliśmy się i znów wracaliśmy na bulwar — zachowywaliśmy się jak dzieci.

— Mieszkam teraz sam, panno Nastusiu — zacząłem — a jutro... No, naturalnie, jestem biedny, panno Nastusiu, wszystkiego mam tysiąc dwieście, ale to nic...

— Naturalnie, że nic, a babcia ma pensję, więc ona nas nie będzie krępować. Trzeba zabrać babcię.

— Naturalnie, że trzeba zabrać babcię... Tylko ta Matriona...

— Ach, tak, i u mnie też Fiokła!...

— Matriona jest poczciwa, tylko ma jedną wadę: zupełny brak wyobraźni. Ale to nic!

— Wszystko jedno, mogą być razem; tylko niech pan od jutra się do nas przeniesie.

— Jak to? do pani? Dobrze, jestem gotów...

— Tak, pan u nas zamieszka. Mamy tam na górze facjatkę; teraz jest pusta; była lokatorka, staruszka szlachcianka, teraz wyjechała i wiem, że babcia chce wynająć młodemu człowiekowi; ja mówię: „Po co młody człowiek?” — a ona powiada: „A tak, jestem już stara, tylko ty nie myśl, Nastusiu, że chcę ciebie za niego wydać”. Zaraz się domyślałam, że to właśnie po to.

— Ach, panno Nastusiu!... — I oboje rozesmiały się.

— No, dosyć, dosyć. A gdzie pan mieszka, bo zapomniałam.

— Tam, w domu Barannikowa.

— To taki duży dom?

— Tak, taki duży dom.

— Ach, wiem, ładny dom; tylko wie pan co, niech pan czym przedzej się wyprowadzi i przenesie się do nas.

— Zaraz od jutra, panno Nastusiu; jestem tam trochę winien za mieszkanie, ale to nic... Niedługo dostanę pensję.

— A wie pan co, może ja będę dawać lekcje? Sama się nauczę i będę dawać...

— Doskonale... A ja niedługo dostanę nagrodę...

— A więc od jutra będzie pan moim lokatorem...

— Tak, i pójdziemy na *Cyrulika sewilskiego*, bo teraz niedługo znowu go wystawią.

— Tak, pójdziemy — powiedziała Nastusia, śmiejąc się — tylko wie pan co, może lepiej nie na *Cyrulika*, ale na coś innego...

— No dobrze, na coś innego; naturalnie, że tak będzie lepiej, nawet mi to nie przyszło na myśl...

Mówiąc tak, chodziliśmy oboje jaikfoy- odurzeni, jak we mgle, jakbyśmy nie wiedzieli, co się z nami dzieje. To zatrzymaliśmy się i długo rozmawiali na jednym miejscu, to znowu zaczynaliśmy chodzić i chodziliśmy Bóg wie gdzie — i znowu śmiech, i znowu łzy... To Nastusia nagle chce iść do domu, a ja nie śniem jej zatrzymywać i chcę ją do samego domu odprowadzić; ruszamy w drogę i nagle po kwadransie znajdujemy się na naszej ławce nad kanałem. To ona westchnie i znowu łezki napłyną jej do oczu; ja onieśmielam się, chłodnę... Ale ona zaraz ściska mą rękę i ciągnie mnie znowu, żeby chodzić, pleść, rozmagniać...

— Teraz już czas, teraz już muszę iść do domu, myślę, że już bardzo późno — powiedziała w końcu Nastusia — dosyć już tego dzieciństwa!

— Tak, panno Nastusiu, tylko że ja już teraz nie zasnę; nie pójdę do domu.

— Ja także, zdaje się, nie zasnę; tylko niech pan mnie odprowadzi...

— Stanowczo!

— Ale już teraz stanowczo dojdziemy do domu.

— Stanowczo, stanowczo...

— Słowo?... Bo przecież trzeba kiedyś wrócić do domu.

— Słowo honoru — odpowiedziałem śmiejąc się.

— No to chodźmy!

— Chodźmy.

— Niech pani spojrzy na niebo, niech pani spojrzy! Jutro będzie śliczny dzień; jakie błękitne niebo, jaki księżyc! Niech pani spojrzy; o, ten żółty obłok teraz go zasłania. Niech pani patrzy! Niech pani patrzy!... Nie, przeszedł obok. Niechże pani patrzy, niechże pani patrzy!...

Ale Nastusia nie patrzyła na obłok, lecz stała w milczeniu jak wryta; po chwili zaczęła się bojaźliwie, mocno do mnie tulić. Ręka jej zadrżała w mojej ręce; popatrzyłem na nią... Oparła się na mnie jeszcze mocniej.

W tej chwili obok nas przeszedł młody mężczyzna. Zatrzymał się nagle, uważnie popatrzył na nas, a potem znów zrobił kilka kroków. Serce mi zadrżało...

— Panno Nastusiu — powiedziałem półgłosem  
— kto to, panno Nastusiu?

— To on! — odpowiedziała szeptem, jeszcze bliżej, jeszcze bardziej drżąco tuląc się do mnie. Ledwie mogłem utrzymać się na nogach.

— Nastusiu! Nastusiu! Nastusiu! To ty? — rozległ się głos za nami i w tej samej chwili młody mężczyzna zrobił ku nam kilka kroków...

Boże, co za okrzyk! Jak ona zadrżała, jak wyrwała mi się z rąk i pobiegła ku niemu!...

Stałem i spoglądałem na nich osłupiały. Ale ona zaledwie podała mu rękę, zaledwie rzuciła się w jego objęcia, nagle znowu podbiegła do mnie, jak wiatr, jak błyskawica, i nim zdążyłem się spostrzec, objęła mnie obiema rękami za szyję i mocno, gorąco pocałowała. Później bez słowa podbiegła znów ku niemu i pociągnęła go za sobą. Długo stałem i spoglądałem za nimi, w końcu oboje znikli mi z oczu.

## Poranek

Noce moje zakończyły się porankiem. Dzień był brzydkie. Padał deszcz i ponuro dzwonił w szyby, w pokoiku było ciemno, na dworze pochmurno. Miałem ból i zawroty głowy. Gorączka z wolna ogarniała całe moje ciało.

— Listonosz przyniósł list do pana — powiedziała nadę mną Matriona.

— List? Od kogo? — zwołałem zrywając się z krzesła.

— A nie wiem, proszę pana, niech pan popatrzy, może tam i napisano od kogo.  
Rozerwałam kopertę. To od niej!

O niech mi pan wybacz, niech mi pan wybacz! — pisała do mnie Nastusia. — Na kolanaach pana błagam, niech mi pan wybacz! Oszukałam i pana, i siebie. To był sen, złudzenie... Cierpiąlam dzisiaj za pana; niech mi pan wybacz, niech mi pan wybacz!...

Niech pan mnie nie potępia, bo ja wcale panu nie złamałam wiary; powiedziałam, że będę pana kochała, i kocham pana, więcej niż kocham. O Boże, gdy foym mogła kochać was obu razem! O, gdyby pan był nim!

„O, gdyby on był panem!” — przemknęło mi przez głowę. Przypomniałem sobie twoje własne słowa, Nastusiu!

Bóg widzi, że wszystko bym teraz dla pana zrobila! Wiem, że panu jest ciężko i smutno. Skrzywdziłam pana, ale pan wie, że jeśli się kocha, nie pamięta się długich urazy. A pan mnie kocha!

Dziękuję! Tak! Dziękuję panu za tę miłość. Bo ona utkwiła mi w pamięci jak słodki sen, który

się długo pamięta po przebudzeniu; bo zawsze będę pamiętała tę chwilę, kiedy pan tak po bratersku otworzył przede mną serce i tak wspaniałomyślnie przyjął w darze moje udrczone, żeby je strzec, uspokajać, leczyć... Jeżeli- pan mi przebaczy, uczucie wdzięczności, które wiecznie trwało będzie w mojej duszy, opromieni pamięć o pana... Będę strzegła tej pamięci, będę jej wierna, nie zdradzę jej, nie zdradzę własnego serca: ono jest nazbyt stałe. Ono wczoraj jeszcze tak szybko powróciło do tego, do którego należało na wieki.

My się spotkamy, pan przyjdzie do nas, pan nas nie porzuci, pan będzie zawsze moim przyjacielem, bratem... I gdy pan mnie zobaczy, poda mi pan rękę... prawda? Pan mi ją poda, pan mi przebaczył, prawda? Pan mnie kocha jak dawniej?

O, niech pan mnie kocha, niech pan mnie nie porzuca, bo ja pana tak kocham w tej chwili, bo ja jestem godna pańskiej miłości, bo ja na nią zasłużę... drogi mój przyjacielu! W przyszłym tygodniu wychodzę za niego za mąż. Wrócił zakochany, nigdy o mnie nie zapominał... Niech pan się nie gniewa, że o nim napisałam. Ale ja chcę przyjść do pana razem z nim: pan go polubi, prawda?...

Niech pan wybaczy, niech pan pamięta i kocha pańską

Nastusie.

Długo czytałem ten list: łzy cisnęły mi się do oczu. W końcu list wypadł mi z rąk i ukryłem twarz w dloniach.

— Proszę pana! Proszę pana! — zaczęła Matriona.

— A co, staruszko?

— Wszystką pajęczynę zdjęłam z sufitu; teraz może się pan nawet żenić i gości spraszać, co pan tylko chce...

Popatrzyłem na Matrionę. Była to jeszcze rześka, młoda staruszka, ale, nie wiem dlaczego, wydała mi się taka zwiędła, ze zmarszczkami na twarzy, zgarbiona, zgrzybiała... Nie wiem dlaczego, nagle wydało mi się, że mój pokój postarzał tak samo jak i staruszka. Ściany i podłogiypełzły, wszystko wyblakło; pajęczyny było jeszcze więcej. Nie wiem dlaczego, kiedy spojrzałem w okno, wydało mi się, że dom stojący naprzeciwko także postarzał się i zblakł, że tynk na kolumnach obłupał się i osypał, że gzymsy pocerniały i powyszczerbiały się, a ciemnożółte ściany stały się nagle szare...

Albo promień słońca, niespodzianie wyjrzał z chmury, znów schował się za nią i wszystko znowu mi w oczach pobladło, albo może ujrzałem taką nie zachęcającą i smutną perspektywę mojej przyszłości — i zobaczyłem siebie tak, jak teraz, akurat po piętnastu latach, postarzałego, w tym samym pokoju, równie samotnego, z ta-

samą Matrioną, która ani trochę nie zmądrzała przez te wszystkie lata.

Ale żebym miał pamiętać swą krzywdę, Nastusiu! Żebym miał napędzać ciemną chmurę na twe jasne, niczym nie zakłócone szczęście, żebym robiąc gorzką wymówkę miał sprowadzić troskę do twego serca, zatrwać je ukrytymi wyrzutami i zmusić je do trwożliwego bicia w chwilach szczęścia, żebym miał zmiąć chociaż jeden z tych kwiatków, któreś wplotła w swoje czarne włosy, kiedyś poszła razem z nim do ołtarza... O, nigdy, nigdy! Niech twoje niebo będzie jasne, niech twój miły uśmiech będzie jasny i beztroski, i bądź błogosławiona za chwilę rozkoszy i szczęścia, które dałaś innemu, samotnemu, wdzięcznemu sercu.

Mój Boże! Cała chwila rozkoszy! Czyż to mało choćby na całe życie człowiecze?...

## Łagodna

### Opowiadanie fantastyczne

## Od autora

Przepraszam moich czytelników, że tym razem zamiast *Dziennika* w zwykłym kształcie daję im tylko opowiadanie. Ale rzeczywiście pracowałem nad tym utworem przeE większą Część miesiąca. W każdym razie proszę czytelników o wyrozumiałość.

A teraz — co do samego opowiadania. Dałem mu podtytuł „fantastyczne”, chociaż uważam je za jak najbardziej realne. Ale fantastyczność jest w nim istotnie — a mianowicie w samej formie opowieści, co też chciałbymawczasu wyjaśnić.

Chodzi o to, że nie jest to opowiadanie, ani nie są to notatki. Proszę sobie wyobrażać męża, którego żona leży na stole martwa: przed kilkoma godzinami popełniła samobójstwo, rzuciwszy się z okna. Jesit wzburzony i jeszcze nie zdążył zebrać myśli. Chodzi po pokojach i usiłuje zdać sobie sprawę z tego, co zaszło, „uporządkować swe myśli”. Dodajmy, że jest to zagorzały hipochondryk z gatunku tych, co sami z sobą rozmawiają. Oto właśnie mówi sam do siebie, referuje sprawę, wyjaśnia ją sobie. Mimo pozornej ciągłości tej relacji, niejednokrotnie przeczy sobie — zarówno logicznie, jak uczuciowo. To usprawiedlilia siebie, to oskarża ją i wdaje się w uboczne rozważania: mamy tu i wulgarność myśli, i serca, i głębię uczucia.

Z wolna rzeczywiście wyjaśnia sobie sprawę i „porządkuje myśli”. Łańcuch wywołanych przezeń wspomnień nieodparcie przywodzi go wreszcie do prawdy; prawda nieodparcie uwzniósła jego umysł i serce. Pod koniec zmienia się nawet sam ton opowieści — w porównaniu z chaotycznym jej początkiem. Prawda dość jasno i wyraźnie — przynajmniej dla niego samego — odsłania się przed nieszczeniem.

Oto temat. Ma się rozumieć, przebieg opowieści obejmuje kilka godzin — z zawieszeniami i przeskokami — i ma kształt nader zawikłany: bohater mówi sam do siebie, to znów zwraca się jak gdyby do niewidzialnego sędziego. Tak też zawsze bywa w rzeczywistości. Gdyby stenograf mógł i go podsłuchać i wszystko zanotować — tekst wydobyłby nieco bardziej chropowaty, surowy, aniżeli u mnie; ale, jak mi się wydaje, proces psychologiczny chyba pozostałby nie zmieniony. Otóż ta hipoteza o stenografie, który wszystko zanotował (po czym ja bym opracował to literacko), stanowi właśnie to, co w tym opowiadaniu traktuję jako element fantastyczny. Ale w sztuce coś podobnego nieraz bywało dopuszczalne. Wiktor Hugo na przykład w swoim arcydziele *Ostatni dzień skazańca* zastosował chwyt prawie identyczny i choć nie wprowadził stenografa, pozwolił sobie na jeszcze większe niepotwadopodobieństwo, zakładając, że skazaniec może (i ma czas) kreślić

notatki nie tylko w ostatnim dniu, lecz nawet w ostatniej godzinie, dosłownie w ostatniej minucie. Gdyby jednak zaniechał tej fantazji, nie powstałby i sam utwór. — najrealniejszy i najprawdziwszy ze wszystkich, jakie napisał.

## Rozdział pierwszy

### I. Kim byłem ja i kim była ona

...O, dopóki ona tu jest — wszystko jeszcze dobrze: podchodzę i coraz spoglądam; a wyniosą ją jutro — jakże ja tu zostanę sam? Teraz leży w saloniku, na stole, zestawiono dwa stoliki do kart, a trumna będzie jutro, biała, wybita białym atłasem, a zresztą ja nie o tym... Wciąż chodzę i chodzę, żeby to sobie wytłumaczyć. Oto już tak od sześciu godzin chodzę, usiłując sobie wytłumaczyć i wciąż nie mogę skupić myśli. Rzecz w tym, że chodzę, chodzę, chodzę... To było tak: po prostu opowiem wszystko po kolei. (Porządek!) Panowie, wcale nie jestem literatem, i wy to widzicie, ale niech tam, opowiem tak, jak sam rozumiem. Stąd właśnie całe moje przerażenie, że wszystko rozumiem!

Otóż, jeżeli chcecie wiedzieć, to znaczy, jeśli zacząć od samego początku — po prostu przychodząła do mnie zastawiać różne rzeczy, aby opła-

ać ogłoszenia w „Głosie” \*: że tak a tak, guvernантka gotowa na wyjazd i na przychodenie na lekcje do domów itd. itd. To było na samym początku i ja naturalnie nie odróżniałem jej od innych: przychodzi tak jak wszyscy i tak dalej. A później to zacząłem ją odróżniać. Była taka szczuplucha, blomdyneczka, średniego wzrostu, w mojej obecności zawsze jakaś niezręczna, jakby skrępowana (myślę, że taka sama była wobec każdego, a ja, ma się rozumieć, byłem dla niej taki sam, jak ten czy ów, to znaczy, jeżeli mówimy nie o właścielcu lombardu, lecz o człowieku). Gdy tylko otrzymywała fñeniadize, natychmiast w tył zwrot i znikała. I zawsze w milczeniu. Inni tak się sprzecząją, molestują, targają się, żeby więcej dostać; ta — nie: ile dadzą... Mam wrażenie... wciąż się gubię... Aha, przede wszystkim zaciekawiły mnie jej rzeczy: srebrne pozłacane kolczyki, mizerny medalionik — przedmioty groszowej wartości. Sama to wiedziała, ale patrząc na nią widziałem, że to dla niej drogocenność — i rzeczywiście to było wszystko, co jej pozostało po tatusiu i mamusi — jak się później dowiedziałem. Raz tylko pozwoliłem sobie na docinek. Bo właściwie, widzicie, ja sobie na to nigdy nie po-

zwalam, wobec klientów zachowuję się po dżentelmeńsku: mało słów, uprzejmie i surowo. „Surowo, surowo i surowo” \*. Lecz oto ona ośmieliła się przynieść resztki (ale to dosłownie resztki) starego serdaka — no i nie wytrzymałem: powiedziałem coś niby w rodzaju dowcipu. Chryste Panie, jak się rozniewała! Oczy ma niebieskie, duże, zamyszone, ale — jak się rozgarzyły! Jednak nie padło ani jedno słowo, zabrała swoje „resztki” i wyszła. Wtedy po raz pierwszy zauważyłem ją specjalnie i pomyślałem o niej w podobny sposób, to znaczy właśnie w sposób specjalny. Tak: pamiętam jeszcze wrażenie, to jest, właściwie, główne wrażenie, ogólną syntezę: to mianowicie, że jest strasznie młoda, taka młodzietka, iż, rzekłoby się — czternastolatka. A miała wtedy już szesnaście lat bez trzech miesięcy. A zresztą nie to miałem na myśli, to wcale nie w tym zawierała się syntezja. Nazajutrz przyszła znowu. Dowiedziałem się później, że była z tym serdakiem u Dobronrawowa i u Mozera, ale oni oprócz złota żadnych przedmiotów nie przyjmują, toteż nie chcieli z nią gadać. Ja natomiast przyjąłem kiedyś od niej kameę (takie ot, świństewko) i — za-

---

\* „Głos” — pismo o tendencjach postępowych wychodzące w Petersburgu w latach 1863—1884 pod redakcją A. A. Krajewskiego.

\* „Surowo, surowo i surowo” — niedokładny cytat z „Płaszcza” N. W. Gogola (1805—1852); są to słowa „znacznej osobistości” — dignitarza, który tak określa sposób postępowania z podległymi mu urzędnikami: „Surowość, surowość i surowość”.

stanowiwszy się później — zdumiałem się: ja także prócz złota i srebra nic nie przyjmuję, a od niej przyjąłem tę kameę. Ta'ka była wtedy moja druga o niej myśl, to pamiętam.

Tamtym razem, to znaczy po wizycie u Mozera, przyniosła bursztynową cygarniczkę: gracik taki sobie, amatorski, ale dla nas znów bez wartości, bo my — tylko złoto. Ponieważ zjawiła się po wczorajszym buncie, przyjąłem ją surowo. Surowość u mnie — to oschłość. Niemniej jednak wręczając jej dwa ruble, nie zdołałem się powstrzymać i powiedziałem z niejakim rozdrażnieniem: „robię to wyłącznie dla pani, a Mozer takiej rzeczy od pani nie przyjmie”. Słowa dla pani wypowiedziałem ze szczególnym naciskiem i właśnie w pewnym sensie. Zły byłem. Ona znowu zaczerniła się usłyszawszy owo dla pani, jednakże zachowała milczenie, nie odsunęła pieniędzy, przyjęła — ot, co zna czy bieda! A jaką była wzburzona! Zrozumiałem, żem ją zranił. A po jej wyjściu nagle się zastanowiłem: czyż istotnie taki triumf wart jest dwa ruble? Cha-cha-cha! Pamiętam, żem sobie to pytanie zadał dWukrotmie: czy to warte? Czy warte? I śmiejąc się odpowiedziałem sobie na nie twierdząco. Ogromnie mnie to wtedy rozbawiło. Ale nie było to brzydkie uczucie: powiedziałem tamto rozmyślnie, celowo; chciałem ją poddać próbie, ponieważ raptem zaświtały mi w głowie

pewne pomysły dotyczące jej osoby. To była moja trzecia specjalna myśl o niej.

No i od tego czasu wszystko się zaczęło. Masie rozumieć, zaraz postarałem się okólną drogą zbadać wszelkie okoliczności i oczekiwałem jej przyjścia ze szczególną niecierpliwością. Przeczuwałem bowiem, że się rychło zjawi. Kiedy przyszła, wszczęłam — z nadzwyczajną galanterią — uprzejmą rozmowę. Jestem przecież niezgorzej wychowany i znam się na formach. Hm... No i wtedy wyczułem, że jest dobra i łagodna. Osoby dobre i łagodne nie opierają się długo i choć same do wywnętrzania się nie są bynajmniej skore, jednakże od rozmowy wykręcić się żadnym sposobem nie potrafią i odpowiadają skąpo, ale odpowiadają, a im dalej, tym obficiej, trzeba tylko samemu nie ustawać, skoro nam zależy. Ma się rozumieć, ona mi wtedy sama nic roie wyjaśniła. Później dopiero dowiedziałem się o „Głosie” i o wszystkim. Ona się wtedy rujnowała na ogłoszenia; z początku, ma się wiedzieć, wyniosłe: „gewartantka, panie dobrodzieju, zgodzi się na wyjazd i oferty proszę nadsyłać z podaniem warunków”, a później — „gotowa na wszystko: i do towarzystwa, i uczyć może, i догlądać gospodarstwa, i pielęgnować chorą osobę, i szyc umiem” itd. itd. — to wszystko tak dobrze znamy! Naturalnie występowało to w ogłoszeniu w rozmaitych wariantach, a pod koniec, gdy jej położenie

stało się rozpaczlwe, to nawet „bez pensji, za wy żywieni e”. Otóż nie, nie znalazła posady! Wtedy postanowiłem po raz ostatni ją wybadać: raptem biorę świeży numer „Głosu” i wskazuję ogłoszenie: „Młoda osoba, zupełna sierota, poszukuje posady guvernantki do małych dzieci, najchętniej u starszego wdowca. Może dopomóc w prowadzeniu domu”.

— Ot, proszę, ta dziś rano dała ogłoszenie, a na wieczór z pewnością posadę otrzyma. Oto jak trzeba się ogłaszać!

Znów się wzburzyła, znowu błysnęła oczyma, odwróciła się i natychmiast wyszła. Bardzo mi się to spodobało. Zresztą byłem wtedy całkiem pewny i nie obawiałem się: cygarniozek nikt nie zacznie przyjmować. A ona zresztą nie miała już nawet cygarniczek. I rzeczywiście, po dwóch dniach przychodzi — taka bledziutka, zdenerwiona; zrozumiałem, że coś się musiało wydarzyć u niej w domu; i faktycznie, wydarzyło się. Zaraz wyjaśnię, co się wydarzyło, ale na razie pragnę tylko wspomnieć, jak jej wówczas zaimponowałem i urosłem w jej oczach. Taki nagle powziąłem zamiar. Chodzi o to, że przyniosła ten obraz (zdecydowała się przynieść)... Ach, słuchajcie, słuchajcie! To właśnie wtedy już się zaczęło, bo ja się wciąż płatałem... Chodzi o to, że teraz chcę wszystko odtworzyć, każdy taki drobiazg, każdą kreseczkę. Wciąż usiłuję skupić myśli

i — nie mogę, a to właśnie owe kreseczki, kreseczki...

Obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem, domowy, rodzinny staroświecki, ornat srebrny pozłacany — warte to, no warte ze sześć rubli. Widzę, że przedmiot jest jej drogi; zastawia całość, nie zdejmując koszulki z obrazu. Powiadam jej: lepiej zdjąć, a obraz niech pani zabienze; bo sam obraz jednak jakoś nie bardzo...

— A czy panu nie wolno?

— Nie, nie o to chodzi, że nie wolno, tylko tak.../Może dla pani samej...

— No więc proszę zdjąć.

— Wie pani, nie będę zdejmować, tylko wstawię o tam, do szafki — rzekłem po namyśle — razem z innymi obrazami, pod lampkę (u mnie zawsze, kiedy otwierałem kasę, paliła się lampka) i, całkiem po prostu, niech pani weźmie dziesięć rubli.

— Nie potrzebuję dziesięciu, niech pan da pięć; ja niezawodnie wykupię.

— A dziesięciu pani nie chce? Obraz jest tyle wart — powiedziałem zauważyszy, że jej oczka znów się zaiskrzyły. Nic nie odpowiedziała.

Wręczyłem jej pięć rubli.

— Nie trzeba nikim gardzić; ja sam bywałem w podobnych opresjach, nawet w jeszcze gorszych, i jeżeli obecnie zastaje mnie pani przy ta-

kiej robocie, to właśnie dlatego, po wszystkim, oom przecieriał...

— Pan mści się na społeczności? Tak? — z nagała przerwała mi ze zjadliwym uśmiechem, zresztą dosyć niewinnym (to znaczy zwróconym nie bezpośrednio do mnie, ponieważ ona mnie podówczas bynajmniej nie odróżniała od innych — tak, że powiedziała to prawie bez złośliwości). Aha, pomyślałem, toś ty taka, charakter się ujawnia, nowomodny.

— Widzi pani — oznał miłem zaraz na poły żartobliwie, na poły tajemniczo: — „Jam częścią części, która ongi była, jam częścią tej ciemności, co światło zrodziła...” \*

Zwróciła ku mnie bystre i pełne ciekawości spojrzenie, w którym, dodam nawiąsem, było sporo dziecięcości.

— Zaraz... Co to za sentencja? Skąd to jest? Ja to gdzieś słyszałam...

— Proszę się nie głowić, tymi słowy Mefisto- feles przedstawia się Faustowi. Czytała pani Fausta?

— N-nie... nieuważnie.

— To znaczy, wcale pani nie czytała. Trzeba przeczytać. A zresztą znowu widzę na pani war-

\* Słowa Mefistofelesa z I części Fausta (1808) Johanna Wolfganga Goethego (1749–1832), przekład Władysława Kościelskiego.

gach ironiczne skrzywienie. Proszę tylko nie przy- pisywać mi tak złego smaku, że oto, chcąc ubarwić swoją rolę lichwiarza, wpadłem na koncept zaprezentowania się pani jako Melistofeles. Lichwiarz lichwiarzem pozostanie. Wiadomo.

— Pan jest jakiś dziwny... Wcale nie chciałem powiedzieć panu nic takiego...

Miała ochotę powiedzieć: „nie spodziewałam się, że pan jest człowiekiem wykształconym”, ale nie powiedziała; wiedziałem jednak, że tak pomyślała; ogromnie ją zaintrygowałem.

— Widzi pani — zauważyłem — na każdym kroku można czynić добро. Oczywiście, nie mówię o sobie: ja oprócz zła, powiedzmy, nic nie czynię, jednakże...

— Naturalnie, można czynić добро w każdym miejscu — rzekła, obrzuciwszy mnie pośpiesznym, ważkim spojrzeniem. — Właśnie, w każdym miejscu — dc dała nagle.

Och, pamiętam, wszystkie te momenty pamiętam! I zauważę jeszcze, że kiedy ta młodzież, ta miła młodzież pragnie powiedzieć coś takiego mądryego i ważkiego — to raptem zbyt szczerze i naiwnie na twarzy bądź miała wypisane, że oto, panie dobrodzieju, „mówię ci teraz coś mądryego i ważkiego” — i to nie z próżności, jak to bywa u nas, ale wręcz widać, że sama strasznie w to wszystko wierzy i ceni to, i szanuje, i myśli, że wy to wszystko tak samo szanujecie. Ach,

szerokość! Oto czym nas zwyciężą! A w niej — jakież to było urocze!

Pamiętani, niczegom nie zapomniał! Po jej wyjściu od razu zadecydowałem. Tegoż dnia przeprowadziłem ostatnie poszukiwania i poznałem wszelkie — już bieżące — tajniki; dawne izmałem w całości dzięki Łukierii, która podówczas u nich służyła i której kilka dni temu przekupiłem. Owe kulisy rzeczywistości były tak przerażające, że nie pojmuję, jak można było jeszcze się śmiać — tak jak niedawno ona — i interesować się słowami Mefista, gdy sama była w tak okropnym położeniu. Ale — ot, młodzież! Tak właśnie pomyślałem o niej z dumą i radością, albowiem w tym jest i wielkoduszność: oto proszę, chociaż znajdziemy się na skraju zagłady, wielkie słowa Goethego promienią. Młodość zawsze — chociażby odrobinę i choćby w błędny kierunku — przecież jest wielkoduszna. To znaczy — ja wszak o niej, o niej jednej. I przede wszystkim wtedy już patrzałem na nią jak na moją i nie wątpilem o swej potędze. Wiecie, przesłodka to myśl, kiedy nie mamy już wątpliwości!

Ale co się ze mną dzieje? Jeżeli będę dalej w ten sposób, kiedyż zbiorę to wszystko razem? Prędzej, prędzej — to wcale nie w tym rzecz, och, Boże!

## II. Propozycja małżeństwa

Owe „kulisy”, to, czego się o niej dowiedziałem, wyrażę w jednym zdaniu: rodzice ją odumarli już dawno, przed trzema laty, ona zaś zamieszkała u niesamowitych ciotek. Określenie to jest zbyt słabe. Jedna ciotka — wdowa, obarczona liczną rodziną, dzieci sześć sztuk, jedno mniejsze od drugiego; druga — niezamężna, stara, wstępna. Obydwie wstępne. Ojciec jej był urzędnikiem, ale z kancelistów, i posiadał zaledwie szlachectwo indywidualne\* — jednym słowem, dla mnie w sam raz. Zjawiłem się niejako z wyższego świata: bądź co bądź emerytowany sztabs-kapitan ze świetnego pułku, rodowity szlachcic, niezależny itd., a jeżeli chodzi o kasę pożyczkową — u ciotek mogło to wywoływać jedynie szacunek. U tych ciotek spędziła trzy lata w niewoli, ale przecie egzamin gdzieś tam zdała — zdążyła, zdążyła zdać, mimo bezlitosnej męki codziennej pracy, a to chyba świadczyło o jej dażeniu do czegoś wyższego i szlachetniejszego! Bo i po cóż chciałem się zenić? A zresztą — do diabła ze mną, o tym póź-

---

\* Urzędnicy państwowi w carskiej Rosji mieli prawo do różnego rodzaju przywilejów, w zależności od stopnia. Urzędnik w stopniu kancelisty (sporządzający czystopisy w kancelarii) miał np. przywilej osobistego szlachectwa, czyli najniższego, pozbawionego własności ziemskiej.

niej... I czyż o to idzie? Uczyła ciotezynie dzieci, szyła bieliznę, a pod koniec nie tylko bieliznę, i — z tymi jej słabymi płucami — podłogi szorowała. Tamte Ustawicznie ją maltretowały i nawet biły. Doszło do tego, że zamierzały ją sprzedać! Tfу! Pominę plugawe szczegóły. Później opowiadzała mi wszystko dokładnie. Wszystko to przez cały rok obserwował sąsiad, opasły sklepikarz, ale nie taki zwyczajny sklepikarz, lecz właściciel dwóch składów kolonialnych. Miał już ma rozkładzie dwie żony i szukał trzeciej — no i wypatrywał sobie: „spokojniutka, panie dobrodzieju, wyrosła w biedzie, a ja ożenię się ze względu na sieroty”. Rzeczywiście miał małe dzieci. Więc — w konkury, jał zmawiać się z ciotkami; a chłop miał pięćdziesiąt lat; ona jest przeróżona. Wówczas to częła często zachodzić do mnie — w związku z owymi ogłoszeniami w „Głosie”. Wreszcie uprosiła ciotki, aby pozostawiły jej do namysłu choć odrobinkę czasu. Dały jej tę odrobinkę, ale tylko jedną, drugiej już nie; warknęły: „Same, nawet bez zbędnej głęby, nie mamy co żreć”. A wieczorem przyjechał kupiec; przywiózł ze sklepu funt cukierków po pół rubla; ona siedzi obok niego; wywołuję tedy z kuchni Łukierię i wysyłam, żeby jej szepnęła, że stoję przy bramie i chcę z nią pomówić w bardzo pilnej sprawie. Byłem zadzwolony z siebie. I w ogóle przez cały ten dzień byłem ogromnie rad.

No i kiedy się ukazała, zdumiona już samym faktem, że mą wezwał, zaraz tam w bramie, w obecności Łukierii, oświadczam jej, że będę sobie poczytywał za szczęście i zaszczyst... Po drugie: niechaj się nie dziwi, że w takim trybie i że w bramie: „Jestem człowiekiem, że tak powiem, prostolinijnym i rozwążyłem wszelkie okoliczności”. I to nie było kłamstwo, że prostolinijny. No, mniejsza... Mówiłem zaś nie tylko grzecznie, to znaczy wykazałwszy się jako człowiek dobrze wychowany, ale i oryginalnie, a to najważniejsze. Cóż, czy grzech to stwierdzić? Ja chcę siebie osądzić i czynię to. Powiniensem mówić *pro i contra*, no i mówię. Później nawet z lubością to wspominałem, chociaż to głupie: oświadczylem jej wtedy po prostu, bez najmniejszego zmieszania, że po pierwsze: nie jestem szczególnie uzdolniony, szczególnie mądry, może nawet niezbyt dobry, dość tani egoista (pamiętam to wyrażenie, ułożyłem je sobie wtedy po drodze i byłem z niego zdowolony), oraz że może i pod innymi względami jest we mnie dużo, dużo niemałego. Wszystko to zostało wypowiedziane z jakąś swoistą godnością — wiadomo, jak się takie rzeczy mówi. Oczywiście miałem na tyle dobrego smaku, że uczciwie wymieniwszy swoje braki, nie zabrałem się do wyliczania: „ale, panie dobrodzieju, w zamian posiadam to i tamto, i owo”. Widziałem, że ona na razie okrutnie się boi, ale ani trochę swej wypo-

wiedzi nie zlagodziłem; nie dość tego, widząc, że się boi, rozmyślnie wzmacniłem: powiedziałem wręcz, że będzie syta, co zaś się tyczy strojów, teatrów, balów — tego nie będzie, chyba dopiero w przyszłości, kiedy osiągnę swój cel. Ten surowy ton prawdziwie mnie upajał. Dodałem — również najswobodniej, niby mimochodem — że jeżeli param się takim zajęciem, to jest, prowadzę tę kasę — to mam w tym jeden tylko cel, jest, że tak powiem, pewna okoliczność... Ale przecież miałem prawo tak mówić: rzeczywiście taki cel miałem i taką okoliczność... Za pozwoleniem, panowie, ja przez całe życie pierwszy nienawidziłem tej (kasy pożyczkowej, ale w istocie, chociaż to śmieszne przemawiać do samego siebie tajemniczymi frazesami, przecież właśnie „mściłem się na społeczności”, naprawdę, naprawdę, naprawdę! Tak, iż jej docinek na temat tej mojej „zemsty” był niesprawiedliwy. To jest, uważacie, gdybym był rzucił jej wprost słowa: „Tak, ja się mszczę na społeczności”, roześmiałaby się — jak to uczyniła rankiem — i wypadłoby rzeczywiście pocieszenie. Ale kiedy ot tak, ubocznym napomknięciem wtrąciłem tajemnicze zdanie, okazało się, że można wyobraźnię zaintrygować. A poza tym ja się wtedy niczego już nie obawiałem: wszak wiedziałem że gruby sklepikarz w każdym razie jest jej bardziej wstretny ode mnie i że oto ja, stojąc przed bramą, okazuję się wyzwolicielem. Przecież ja to

wszystko pojmowałem. Jeżeli idzie o podłość — człek orientuje się doskonale! Ale czy to podłość? Jakże tu człowieka sądzić? Alboż ja jej już nawet wtedy nie kochałem?

Chwileczkę: ma się rozumieć, nie napomiknąłem jej ani słowem o dobrodziejstwie; przeciwnie, wręcz przeciwnie: „To dla mnie, że tak powiem, a nie dla pani dobrodziejstwo”. Tak, iż nawet wyraziłem to słowami i może wypadło głupawo, zauważylem bowiem przelotny grymas na jej twarzy. Ale w ogólnym rozrachunku bezsprzecznie wygrałem. Czekajcie, skoro już mam wyplekać całe to błoto, przypomnę i ostatnie świństwo: stałem, a w głowie mi się kotłowało; jesteś wysoki, zgrabny, edukowany i — i ostatecznie, mówiąc bez fanfaronady — niebrzydki z ciebie mężczyzna. Oto co mi tańczyło w łepetynie. Oczywiście ona tamże w bramie powiedziała tak. Ale... Ale musiał dodać: tamże w bramie długo myślała, zanim powiedziała tak. Tak się zamyśliła, tak zamyśliła, żem po chwili spytał:

— No i jakże, co? — i nawet nie zdzierzyłem; z pewnym zacięciem zapytałem: — No i jakże, i cóż, szanowna pani?

— Proszę zaczekać, myślę.

I taką poważną miała twarzyczkę, taką — że już wówczas byłbym mógł wyczytać, co myśli! A ja się czułem obrażony: „czyżby wybierała

między mną a kupcem?" Och, wtedy jeszcze nie rozumiałem! Nie, jeszcze wtedy nie rozumiałem! Do dziś dnia nie rozumiałem. Pamiętam, Łukieria wybiegła za mną, kiedy już odchodził, zatrzymała mnie w drodze i z gorączkowym podnieceniem powiedziała: „Bóg panu zapłaci za to, że pan bierze naszą kochaną panienkę; tylko proszę 'jej tego nie mówić: ona jest ambitna".

Ha, jest ambitna! Ja, panie dobrodzieju, sam lubię ambitne osobki. Ludzie ambitni są przemili, kiedy... ano kiedy nie mamy już wątpliwości co do naszej nad nimi władzy, prawda? Och ty prostaku, niedźwiedziu! Ach, jaki byłem zadowolony! Wiecie... przicież w niej, kiedy tak stała przed bramą, zamysliwszy się, by mi powiedzieć tak, a ja zdziwiony czekałem, czy wiecie, że w niej mogła była się zrodzić nawet taka myśl: „Skoro już nieszczęście i tam, i tu, czy nie lepiej wybrać od razu najgorsze, to jest tłustego sklepikarza; niechże co rychlej zaitłucze, gdy się spiże na umór!" Co? Jak sądzicie: mogła to pomyśleć? Ot, przed chwilą powiedziałem, że mogła tak pomyśleć: iż z dwojga złego lepiej wybrać gorsze, czyli kupca. A kto był w jej oczach tym gorszym: ja czy tamten? Kupiec czy zastawnik cytujący Goethego? To jeszcze pytanie! Jakież tu pytanie? Jeszcze tego nie rozumiesz? Odpowiedź leży tu, na stole, a ty powiadasz: pytanie! Ech, do diabła ze mną! Nie o mnie wcale chodzi... Ale właśnie,

co mi teraz za różnica czy o mnie, czy nie o mnie chodzi? Tego już zgoła nie potrafię rozstrzygnąć. Trzeba by pójść spać. Głowa boli...

### III. Najszlachetniejszy z ludzi, ale sam w to nie wierzę

Nie zasnąłłem. Bo i jak tu spać, coś tętni w głowie. Chciałoby się ogarnąć to wszystko, całe to błoto. Och, błoto! Och, z jakiego błota wówczas ją wyciągnąłem! Chyba powinna była to wszystko zrozumieć, ocenić mój postępek! Przyjemne były mi też różne myśli, na przykład: że ja mam czterdzieści jeden lat, a ona szesnaście. To mnie ujmowało, owo poczucie nierówności — bardzo to miłe, bardzo miłe.

Ja na przykład chciałem urządzić ślub d'*l'anglaise* \*, to znaczy tylko we dwoje przy dwóch zaledwie świadcach (jednym byłaby Łukieria) i potem zaraz do Moskwy — do hotelu, na jakieś dwa tygodnie. Ona sprzeciwiła się, nie pozwoliła i musiałem się wybrać z ceremonialną wizytą do ciotek, od których ją zabieram. Ustąpiłem i ciotkom oddałem powinność. Nawet dałem tym kreaturom po sto rubli i jeszcze coś tam obiecałem, oczywiście nic jej o tym nie mówiąc, żeby nie zmartwić przypomnieniem ubóstwa. Ciotki natychmiast

\* A *l'anglaise* (fr.) — na sposób angielski.

stały się słodziutkie. Wywiązał się spór w sprawie posagu: ona prawie literalnie nic nie miała, ale niczego się też nie domagała. Udało mi się jednak przekonać ją, że tak całkiem nic — niepotoczna, no i posag sprawiłem ja, bo ii ktośby cokolwiek dla niej zrobił! Ech, oo tam, mniejsza 0 mnie. Różne myśla przecie zdążyłem jej wtedy zwierzyć, żeby przynajmniej wiedziała, co i jak. Może się z tym nawet trochę pośpieszyłem. Najważniejsze to to,, że — jakkolwiek hamując się — bądź co bądź ignęła do mnie z miłością, z zachwytem witała moje wieczorne przyjazdy, opowiadała mi tym swoim dzieciętym stylem — ach, to czarujące niewinne gaworzenie! — o całym swym dzieciństwie i rodzicielskim domu, o ojcu i matce. Lecz ja wszystko ten urok z miejsca oblałem zimną wodą. Na tym właśnie polegała moja postawa. Na zachwyty odpowiadałem milczeniem — ma się rozumieć, łaskawym... lecz ona przecie rychło stwierdziła, żeśmy różni, że ja — to zagadka. A sedno w tym, że ja właśnie na to biłem! Wszak po to, by zadać zagadkę, może popełniłem całą tę niedorzeczość! Przede wszystkim: surowość — pod tym też znakiem wprowadziłem ją do swego domu... Jednym słowem wtedy, aczkolwiek byłem rad, wypunktowałem cały system. Och, sam się ten system bez żadnego natężenia ukształtował... Ale bo też nie sposób było inaczej: musiałem stworzyć cały ten system pod

naporem niezłomnych okoliczności... Czemuż miałybym sam -siebie oczerniać? System był słuszny. Nie, posłuchajcie, jeżeli już kogoś sądzić — to trzeba znać sprawę... Słuchajcie:

Jak by tu zacząć? Bo to bardzo trudne. Kiedy zaczniemy się usprawiedliwić — w tym właśnie trudność. Bo, uważacie: młodzież gardzi na przykład pieniądem; no to ja natychmiast z naciskiem o pieniądzach — i to z takim, że ona coraz bardziej milkła. Rozwierała szeroko oczy, słuchała, patrzyła i milkła. Młodzież, uważacie, jest wielkoduszna i wybuchowa,- ale jest nieztojt tolerancyjna, skłonna niemal wręcz do pogardy. Ja zaś domagałem się liberalizmu, chciałem ten liberalizm 'wszczępić jej wprost do serca, wszczępić w odruchy serca, czyliż nie tak? Weźmy poitoczyj przykład: jak miałem, powiedzmy, takiej osobie przedstawić sprawę prywatnego lombardu? Ma się rozumieć, nie zacząłem bezpośrednio o tym, gdyż wypadłoby, że proszę o wybaczenie za tę kasę, ale operowałem, że tak powiem, dumą, mówiłem nieomal milcząc. A w tym to ja jestem mistrzem, całe życie przegadałem w milczeniu i milcząc sam z sobą przeżyłem całą tragedię. Ach, przecież i ja byłem nieszczęśliwy! Przez wszystkich odsunięty, wyrzucony i zapomniany — a nikt o tym nie wie! A tu raptem ta szesnastolatka natłapała od ludzi, od ludzi nikczemnych, TÓŻnych o mnie szczegółów i wydaje się jej, że wie wszy-

stko, gdy właśnie to, co najcenniejsze, tkwiło jedynie we wnętrzu tego człowieka! Ja milczałem wciąż i zwłaszcza, zwłaszcza przed nią milczałem — aż do wczorajszego dnia; dlaczego milczałem? Ano — jako człowiek dumny. Chciałem, by się dowiedziała sama, beze mnie — tylko już nie z plotek plugawców, lecz żeby sama się domyślała, co to za człowiek, i zrozumiała go! Wprowadzając ją do swojego domu, wymagałem całkowitego szacunku. Chciałem, by stała przede mną w błagalnej pozie — za moje cierpienia — i zasługiwałem na to! O, ja zawsze byłem dumny, zawsze chciałem mieć wszystko albo nic! Toteż właśnie dlatego, że nie chcę połowicznego szczęścia, lecz żem wszystkiego pragnął — właśnie dlatego musiałem wtedy tak postąpić: „ano, sama się domyśl i oceń!” Albowiem, zgóździe się, gdybym sam zaczął jej objaśniać i podpowiadać, wpływać na nią, domagać się respektu — toć wyglądałoby to całkiem tak, jak gdybym prosił o jałmużnę... A zresztą... a zresztą, po co o tym wszystkim mówię?!

Głupio, głupio, głupio! Wyraźnie i bezlitośnie (a podkreślam: bezlitośnie) wytłumaczyłem jej wtedy w dwóch słowach, że wielkoduszność młodych to śliczna Tzecz, tylko że nie jest warta dwóch groszy. Dlaczego? Ponieważ tanio to im przychodzi, doszli do tego wszystkiego nic nie przeżywszy; to są, że tak powiem, „ipierwsze do-

znania żywota” \*, ale zobaczymy was przy robocie! O tanią wielkoduszność zawsze łatwo, nawet życie poświęcić — to także łatwe, bo tu tylko krew kipi i nadmiar sił, okrutnie pragnie się piękna! Otóż nie, weźmy wielkoduszny czyn niełatwty, cichy, bez rozgłosu, bez blasku, ocierający się o potwarz, taki, gdzie dużo ofiarności, a mało sławy, kiedy porządnego człowieka wszyscy mają za łotra, chociaż jest najuczciwszy w świecie — ano spróbujcie spełnić taki czyn; nie, zrezygnujecie! A ja — przez całe życie nosiłem go w piersi. Ona zrazu oponowała — i to jak! — ale później zaczęła pomilkiwać, aż zupełnie ucichała, oczy tylko otwierała słuchając — takie wielkie, wielkie oczy, tak uważne. I... i potem... nagle spostrzegłem jej uśmiech — niedowierzający, głuchy, niedobry. I oto tak właśnie uśmiechniętą wprowadziłem ją do swojego domu. I to też prawda, że nie miała już dokąd pójść...

#### IV. Plany, plany..

Kto z nas dwojga zaczął wtedy?

Nikt. Samo się zaczęło — od pierwszego mo-

\* „Pierwsze doznanie żywota” — nieznacznie zmieniona fraza z wiersza A. Puszkina (1799–1837) *Demon*; w przekładzie M. Jastruna brzmi on:

Gdy jeszcze świeży i uroczy  
Był dla mnie każdy objaw bytu.

mentu. Powiedziałem, żem ja wprowadził do swo-  
go domu z surową powagą; jednakże zaraz po  
pierwszym kroku złagodziłem tę postawę. Jeszcze  
jako narzeczoną pouczyłem ja, że zajmie się  
przyjmowaniem zastawów i wypłatą pieniędzy,  
a ona przecie wtedy nic nie powiedziała (proszę  
to zauważyc). Nie dość tego: zabrała się do pra-  
cy nawet gorliwie. Mieszkanie, meble — to wszy-  
stko, oczywiście, zostało po dawnemu. Mieszka-  
nie składa się z dwóch izb: jeden obszerny pokój  
z odgrodzoną kasą, a drugi, także duży — nasz  
pokój wspólny i zarazem sypialnia. Umeblowanie  
u mnie skape, nawet ciotki mają lepsze. Szafka  
z lampką mieści się w sali, tam gdzie kasa, w  
moim zaś pokoju stoi szafa zawierająca trochę  
książek oraz kuferek; klucze noszę przy sobie; no  
i łóżko, stoły, krzesła. Jeszcze jako narzeczonej  
zapowiedziałem jej, że na nasze utrzymanie —  
czyli na żywność dla mnie, dla niej i dla Łukierii,  
która udało mi się przeciagnąć na swoją stronę —  
przeznaczam rubla dziennie, nie więcej. „Muszę,  
uważasz, zebrać w ciągu trzech lat trzydzieści  
tysięcy, a inaczej się pieniędzy nie uzbiera”. Nie  
protestowała, ale sam podwyższyłem przewidzianą  
kwotę o trzydzieści kopiejek. Powiedziałem  
narzeczonej, że teatru nie będzie, a jednak zde-  
cydowałem, że raz w miesiącu będziemy chodzić  
do teatru — i to elegancko: do krzeseł. Byliśmy  
razem na trzech przedstawieniach: *Pogoń za*

*sczęściem, Śpiewające ptaki*\* i, zdaje się... (Och  
do diabła z tym, do diabła!) Chodziliśmy tam w  
milczeniu i w milczeniu wracaliśmy. Czemu, cze-  
muż to od samego początku milczeliśmy? Toć na  
początku nie było kłótni — a milczenie też pano-  
wało. Ona stale, pamiętam, jakoś ukosem patrzy-  
ła na mnie, a znów ja, kiedy to spostrzegłem, wzmogłem milczenie. To prawda, że to ja je po-  
głębiliem, a nie ona. Z jej strony raz czy dwa  
zdarzyły się jakieś porywy, rzuciła mi się w obję-  
cia; ale ponieważ te porywy były chorobliwe, hi-  
steryczne, a ja potrzebowałem szczęścia solidne-  
go, zaprawionego jej szacunkiem — zareagowa-  
łem ozięble." No i miałem słuszność: za każdym  
razem po porywach wybuchała kłótnia.

To jest, kłótni właściwie nie było, ale następowało milczenie i z jej strony coraz bardziej zuchwała postawa. „Bunt i niezależność” — oto jak to wyglądało, do tego tylko była zdolna. Tak, ta łagodna twarz stawała się coraz bardziej zuchwała. Czy uwierzycie: ja się dla niej stawałem obmierzły — o tym się dobrze przekonałem. Ale co

\* *Pogoń za szczęściem* — sztuka P. I. Jurkiewicza (zm. 1884 r.) piszącego pod pseudonimem P. Gołubin, wystawiona była w Petersburgu w 1876 r., a więc w tym właśnie czasie, gdy Dostojewski pisał *Łagodną; Śpiewające ptaki* — operetka francuskiego kompozytora J. Offenbacha' (1819—1880), nosząca w oryginale tytuł *Péri-chole* (1868), szła na scenie Teatru Aleksandryjskiego w Petersburgu również jesienią 1876 r.

do tego, że w tych swoich porywach traciła panowanie nad sobą — co do tego nie było wątpliwości. No, bo jakże to, na przykład, wydostawszy się z takiego upodlenia i nędzy, po owym szorowaniu podłóg, zacząć raptem dąsać się z powodu naszego ubóstwa?! Zechciejcie, proszę, zauważać: nie żyliśmy ubogo, tylko oszczędnie, a tam, gdzie potrzeba, nawet luksusowo; ot, na przykład, jeżeli idzie o bieliznę — czyściutko. Ja zawsze, dawniej także, upajałem się myślą, że schludność mężowska pociaga żonę. Zresztą ona miała mi za złe nie ubóstwo, ale to sknerstwo w gospodarce: „Zmierza do jakiegoś celu, wykazuje niezłomność charakteru”. Z bywania w teatrze sama zrezygnowała. I ten jej grymas coraz bardziej ironiczny... a ja coraz bardziej zacinam się w milczeniu.

Alboż mam się usprawiedliwiać? Tu najważniejszą sprawą była owa kasa pożyczkowa. Za pozwoleniem: wiedziałem, że kobieta, w dodatku szesnastoletnia, nie może nie ulegać całkowicie mężczyźnie. Kobietom brak oryginalności, to... to jest aksjomat \*, nawet i dziś, nawet teraz, to jest dla mnie aksjomat! Cóż znaczy to, co tam leży w sali? Fakt jest faktem, i tutaj sam Mili \*\* nic nie .

\* Aksjomat — twierdzenie przyjęte z góry za prawdziwe (w logice), pewnik.

\*\* John Stuart Mili (1806—1873) — angielski, filozof, logik i ekonomista.

poradzi! A kobieta kochająca, ach, kochająca kobietą nawet usterki, nawet niegodziwości ukochanego człowieka wybacz. On sam nie wynajdzie dla swych wykroczeń takich usprawiedliwień, jakie mu ona podsunie. To jest wielkoduszne, ale nie oryginalne. I cóż, powtarzam, wskazujecie^ni tam na stole? Alboż to, co tam leży, jest oryginalne? Ech!

Posłuchajcie: byłem w owym czasie pewny jej miłości. Wszak i wtedy rzucała mi się na szyję. A zatem kochała albo raczej pragnęła, usiłowała kochać. A najważniejsze to to, że tam nawet żadnych takich paskudztw nie było, żeby miała dla nich wyszukiwać usprawiedliwienia. Powiadacie — i wszyscy powiadają — lichwiarz. No i cóż z tego, że lichwiarz? Widocznie muszą być jakieś przyczyny, skoro najszlachetniejszy z ludzi został lichwiarzem. Uważacie, panowie, są pewne idee, to znaczy, widzicie, niekiedy, jeżeli pewne idee wyrazimy słowami — to wypadnie okropnie głupio. Sam się człek zawstydu. A dlaczego? Dla niczego. Dlatego, żeśmy wszyscy dranie i nie znamy prawdy, albo nic już nie wiem. Powiedziałem przed chwilą: „najszlachetniejszy z ludzi”. Śmieszne to, a jednak tak przecież było. Oto prawda, to najrzetelniejsza prawda! Tak, miałem prawo pomyśleć o zabezpieczeniu się — no i założyłem tę kasę: „Wyście mnie oddepchnęli, wy, czyli ludzie, wygnaliście mnie precz z milczącą

pogardą. Na mój gorący ku wam poryw odpowiedzieliście mi całozyciową krzywdą. Toteż miałem prawo odgrodzić się od was, uciułać owe trzydzieści tysięcy rubli i dokonać żywota gdzieś na Krymie, na wybrzeżu południowym, wśród gór i winnic, we własnej posiadłości, nabytej za te trzydzieści tysięcy, a — co najważniejsze — zdała od was wszystkich, lecz bez złości na was, z ideałem w duszy, z ukochaną kobietą przy boku, z rodziną, jeśli Pan Bóg pobłogosławi i — wspomagając okolicznych osadników". Całe szczęście, rzecz prosta, że to ja teraz sam do siebie mówię, cóż bowiem mogłoby być bzdurniejszego, gdybym był jej wtedy na głos wybębnił? Oto skąd owo dumne milczenie, oto czemuśmy siedzieli bez słowa. No bo cóż by ona z tego zrozumiała? Szesnaście latek, pierwsza to ci młodość — i co też ona mogła pojąć z tych moich usprawiedliwień, z tych przejść? Tam — prostolinijność, nieznajomość życia, młodzieńcze taniutkie przekonania, kurza ślepota „wzniosłych serc", a tu — przede wszystkim — kasa pożyczkowa i kropka. (A czyż ja w tej kasie pożyczkowej byłem łotrzykiem? Alboż nie widziała, jak postępuję i czy skrywydziłem kogo?) Och, jakże okropna jest prawda na tym świecie! To cudo łagodności, ta nietoianka — okazała się tyranem, nieubłaganym tyranem i dręczycielem mojej duszy! Przecież oszkaluję siebie, jeżeli tego nie powiem. Myślicie, żem jej

nie kochał? Kto może powiedzieć, że jej nie kochałem? Otóż widzicie: w tym właśnie ironia, tu wystąpiła gorzka ironia losu i natury! Jesteśmy przeklęci, życie ludzkie jest w ogóle przeklęte (moje w szczególności!). Tu wypadło coś nie tak... Wszystko było jasne, plan mój był jasny jak niebo! „Surowy, dumny i niczych perswazji nie potrzebuje, cierpi w milczeniu". Tak też było, nie kłamałem! „Sama później zobaczy, że w tym była wielkoduszność, tylko że nie potrafiła tego dostrzec — a kiedy się tego domyśli, oceni dziesięciokrotnie i padnie przede mną upokorzona, ze złożonymi błagalnie dłońmi". Lecz tutaj o czymś zapomniałem, czy też coś przeoczyłem. Czegoś tam nie potrafiłem zrobić. Ale dosyć, dosyć. I kogo teraz prosić o przebaczenie? Koniec — to koniec. Śmielej, człowiek, i bądź dumny. Nie ty zawiniłeś!...

Ha, cóż, powiem prawdę, nie złknę się spojrzeć prawdzie w oczy: to ona, ona zawiniła!

## V. „Łagodna" się buntuje

Sprzeczki zaczęły się od tego, że jej się raptem zachciało wypłacać pieniądze według własnego uznania, taksować przedmioty powyżej ich wartości i nawet raz czy dwa razy wszczęła ze mną dyskusję na ten temat. Nie dopuściłem do tego.

Ale wtedy właśnie napatoczyła się ta kapitanowa.

Zjawiła się przynosząc medalion — prezent nieboszczyka męża, ot wiadomo, pamiątka. Wydałem jej trzydzieści rubli. Staruszka jęła lamentować, prosić, byśmy przechowali ten przedmiot — oczywiście przechowamy. Aliści nagle po pięciu dniach przychodzi, żeby tamto zamienić na bransoletkę, niewartą nawet ośmioletu rubli. Ma się rozumieć, odmówiłem. Ona już wtedy widocznie coś odgadła z oczu żony — no i przyszła później, kiedy mnie nie było, i uzyskała od niej zamianę.

Dowiedziawszy się o tym, tegoż dnia rozmówiłem się z nią krótko, ale surowo i stanowczo. Siedziała na łóżku utkwiwszy wzrok w podłodze i szurając po dywaniku czubkiem prawego pantofla (zwykły jej gest); na jej ustach trwał złośliwy uśmiech. Wtedy, nie podnosząc oczu, spokojnie zaznaczyłem, że pieniądze są moje i że mam prawo patrzeć na życie moimi oczyma, i że kiedym ją zapraszał do swego domu, niczego przed nią nie zataiłem.

Zerwała się raptownie, zatrzęsła się cała i — proszę sobie wyobrazić — nagle zatupała nogami; to było zwierzę, to był atak szału, to było szalejące zwierzę. Zdrętwiałem ze zdumienia; takiego wyskoku nie spodziewałem się. Ale nie straciłem panowania nad sobą, nawet się nie poruszyłem i tym samym spokojnym tonem oznaj-

miłem jej, że odtąd pozbawiam ją uczestniczenia w moich zajęciach. Roześmiała mi się prosto w twarz i wyszła z mieszkania.

Muszę podkreślić, że wychodzić nie było jej wolno. Nigdzie bez mnie — taki był nasz układ zawarty jeszcze w okresie narzeczeństwa. Wróciła dopiero wieczorem, ja na to ani słowa.

Nazajutrz rankiem wyszła znowu, następnego dnia również. Zamknąłem kantor i wybrałem się do ciotek. Nie utrzymywaliśmy z nimi żadnych stosunków od czasu wesela. Okazało się, że nie przychodziła do nich. Wysłuchały mnie z zaciekawieniem, no i wyśmiały: „To się panu — powiadają — należy”. Ale byłem przygotowany na ich kpinki. Z miejsca też tę młodszą, niezamężną, przekupiłem za sto rubli; dwadzieścia pięć dałem jako zaliczkę. Po dwóch dniach przychodzi do mnie: „Tam, powiada, oficer Jefimowicz, dawny pana kolega pułkowy, jest zamieszany”. Bardzo mnie to zdziwiło. Ow Jefimowicz właśnie największą przykrość wyrządził mi był w pułku, a jakiś miesiąc temu, bezczelny! — jako rzekomy interesant — raz czy dwa razy zaszedł do kasy i, pamiętam, zaczął z moją żoną o czymś żartobliwie rozmawiać. Wtedy podszedłem do niego i powiedziałem — pomny naszych stosunków — żeby się nie ważył tu przychodzić; ale nic takiego nawet przez myśl mi nie przeszło, tylko tak po prostu stwierdziłem w duchu, że jest bezczelny. A tu

raptem ciotka informuje, że jest już wyznaczone spotkanie i że całą sprawą manewruje pewna dawna znajoma ciotek, Julia Samsonowna, wdowa, a do tego jeszcze pułkownikowa: „U niej to właśnie bywa teraz pana małżonka”.

Tę rzecz przedstawię w skrócie. Cała sprawa kosztowała mnie około trzystu rubli, ale po dwóch dniach wszystko zostało urządzone tak, że będę stał w sąsiednim pokoju, za zamkniętymi drzwiami, przysłuchując się pierwszej schadzce mojej żony z Jefimowiczem. Tymczasem zaś w przeddzień owego *randez-vous* rozegrała się między nami krótka, lecz dla mnie aż nazbyt znamienna scena.

Żona wróciła pod wieczór, siadła na łóżku, spogląda na mnie drwiąco i nóżką stuka o dywanik. Gdy tak na nią patrzę, nagle pomyślałem, że w ciągu całego ostatniego miesiąca albo ściślej od dwóch tygodni była nieswoja, rzec by nawet można — całkowicie odmieniona: okazywała się istota porywczą, napastliwą, nie powiedziałbym — bezwstydną, ale niezrównoważoną i zmierzającą do zamętu. Napraszającą się o zamęt. Łagodność jednak była jaj w tym przeszkodą. Kiedy taka osoba rozhula się — to chociażby nawet przebrała miarę, przecież widać, że sama się tylko przełamuje, sama się podnieca i że nie jest zdolna przezwyciężyć własnej dziewczoci i skromności. Dlatego to takie właśnie niekiedy rozpę-

dzają się zgoła ponad miarę — tak iż nie wierzymy obserwacjom własnego rozumu. Istota zaś przywykła do rozpusty — przeciwnie: zawsze nałoży tłumik, postapi szpetniej, ale w ramach porządku i przystojności, z pretensją górowania nad nami.

— A czy to prawda, że wygnano cię z pułku za to, żeś stchorzył odmówiąszy pojedynku? — spytała nagle ni w pięć ni w dziewięć, błysnawszy oczyma.

— Prawda; na skutek deeyzji sądu oficerskiego poproszono mnie o podanie się do dymisji, co zresztą sam już przedtem uczyniłem.

— Wyrzucili cię jak tchórza?

— Tak, ogłosili mnie tchórzem. Ale ja się uchyliłem od pojedynku nie — z tchórzostwa, lecz dla tego, że nie chciałem poddać się ich tyrańskiemu wyrokowi i wystąpić z wyzwaniem na pojedynek, skoro nie czułem się obrażony. Wiedz — tu nie zdołałem się pohamować — że przeciwstawić się czynnie takiej przemocy i przystać na wszystkie konsekwencje, to było dowodem znacznie większego męstwa aniżeli wszelkie pojedynki.

Nie wytrzymałem: tym zdaniem niejako usiłowałem się usprawiedliwić; a ona tylko na to czekała, na to moje nowe upokorzenie. Roześmiała się zjadliwie.

— A czy to prawda, żeś potem przez trzy lata jak wółczęga łaził po ulicach Petersburga, pro-

sząc o dziesięciokopiejkowe datki, i żeś nocował pod bilardami?

— Nocowałem nawet na Siennej, w domu Wiaziemskiego \*. Owszem, to prawda: kiedy opuściłem pułk, w moje życie wdarło się wiele sromoty i poniżenia, ale nie był to upadek moralny, gdyż sam pierwszy nienawidziłem swoich ówczesnych poczynań. To był jedynie upadek woli i umysłu, wywołany przez tragicznego położenia. Ale to minęło...

— Oho, teraz jesteś figurą, finansistą!

Była to aluzja do kasy pożyczkowej, lecz już zdażyłem się opanować. Widziałem, że ona oceniuje poniżających mnie wyjaśnień i wyjaśnień tych jej nie dałem. W samą porę zadzwonił do drzwi interesant; wyszedłem więc do sali. Następnie, już w godzinę później, kiedy się ubrała, zamierzając wyjść, przystanęła przede mną i rzekła:

— Jednak nic mi o tym przed ślubem nie powiedziałeś.

Pominiałem to milczeniem. Wyszła.

Tak tedy następnego dnia stałem w tamtym pokoju, za drzwiami, słuchając, jak się rozstrzygał mój los, a w kieszeni miałem rewolwer. Ona była ubrana, siedziała przy stole, a Jefimowicz

• Dom Wiaziemskiego — przytułek dla nędzarzy w Petersburgu.

krygował się przed nią. I cóż: wyszło (muszę tu siebie pochwalić), wyszło jota w jotę to, co przezuwałem i przewidywałem, chociaż nawet nieświadomy, że to przeczuwam i przewiduję. Nie wiem, czy wyrażam się zrozumiale.

Oto co nastąpiło. Słuchałem przez całą godzinę i przez całą godzinę byłem świadkiem pojedynku najszlachetniejszej i najwznośniejszej kobiety z rozpustnym światowcem, z tępym osobnikiem o pełzającej duszy. I skąd — myślałem zdumiony — skąd ta naiwna, ta łagodna i małomówna istota wszystko to wie? Najdowcipniejszy autor salonowej komedii nie zdołałby stworzyć owej sceny drwin, pełnego nienawiści chichotu oraz świętego oburzenia przy zetknięciu się cnoty z niecnotą! I jakże się skrzyły jej słowa i najdrobniejsze słóweczka! Ileż było humoru w szybkich replikach, jak trafne były jej sądy! A zarazem — ile niemal dziewczęcej prostoduszności. Wykpiwała wręcz jego wyznania miłosne, jego gesty, jego propozycje. Przybywszy w celu przypuszczenia prostackiego szturmu i nie przewidując oporu, Jefimowicz nagle osłupiał. Zrazu gotów byłem przypuścić, że to z jej strony po prostu koketeria, „koketeria rozwiązżej, lecz przy tym sprytnej istoty — żeby nadać sobie wyższą cenę”. Ale nie, prawda zajaśniała jak słońce i niepodobna było powątpiewać. Jedynie poryw sztucznie wznieconej nienawiści do mnie mógł skłonić ją, niedo-

świadczoną, do urządzenia tej schadzki; gdy wszakże doszło do realizacji — wnet się jej otworyły oczy. Oto po prostu miotała się ta istota, chcąc mnie za wszelką cenę znieważyć, lecz zdecydowawszy się na taki manewr, nie wytrzymała jego szpetoty. I czyliz ją, czystą i bezgrzeszną, posiadającą ideał, czyliz mógł ją skusić Jefimowicz albo ktrarakolwiek z tamtych wielkoświatowych kreatur? Przeciwnie, on ją tylko rozśmieszył. Wszystka prawda wezbrała w jej duszy i oburzenie wytrysnęło sarkazmem z jej serca. Powtarzam: ten błazen pod koniec całkiem osowiał i siedział nachmurzony ledwo odpowiadając, tak iż zacząłem się wręcz obawiać, by w prostackim odruchu zemsty nie poważył się jej obrazić. I jeszcze raz powtarzam: muszę się pochwalić, że scenie tej przysłuchiwałam się nieomal bez zdziwienia. Rzekłbym, że oto zastałem same tylko zinane rzeczy. Jak gdybym był się tam udał, żeby to zastać. Szedłem tam nie wierząc niczemu, żadnemu oskarżeniu, choć miałem w kieszeni rewolwer, to prawda! I czyliz mogłem inaczej ją sobie wyobrazić? Och, oczywiście wiedziałem, jak dalece mnie nienawidzi, ale upewniłem się i co do tego, jak dalece jest nieskalana. Przerwałem ową scenę, otworzywszy drzwi. Jefimowicz zerwał się, ja ująłem jej rękę i poprosiłem, by wyszła ze mną. Jefimowicz z nagłą wyprostował się dziarsko i wybuchnął śmiechem:

— Och, przeciw świętym prawom małżeńskim nie oponuję, żegnam! I wie pan — zawałał, gdy kierowałem się ku wyjściu — chociaż porządnego człowieka nde powinien się z panem pojedyńkować, jednakże, przez respekt dla pańskiej damy, jestem do pana dyspozycji... Jeżeli w ogóle pan zaryzykuje...

— Słyszysz — przetrzymałam ją na chwilę w progu.

Potem — przez całą drogę — ani słowa. Przwadziłem ją za rękę; szła bez oporu. Przeciwnie: była okrutnie zdumiona, ale tylko w drodze do domu. Gdyśmy się tam znaleźli, siadła na krzesle i utkwiła we mnie spojrzenie. Była niezwykle blada; chociaż wargi jej natychmiast skrzywiły się ironicznie, patrzyła już z uroczystym i surowym wyzwaniem, i chyba całkiem serio była przekonana, że ją zastrzelę. Ale wyjąłem z kieszenni rewolwer i położyłem na stole. Patrzyła w milczeniu na mnie i na broń. Zechciejcie zauważyć: ten rewolwer był jej znany. Nabyłem go i trzymałem nabity, odkąd uruchomiłem kasę pożyczkową. Postanowiłem wtedy nie trzymać w domu groźnych psów ani krzepkiego lokaja, jak to jest na przykład u Mozera. U mnie interesantów wpuszcza kucharka. Ale w naszym zawodzie niepodobna obywać się — na wszelki wypadek — bez środków samoobrony, więc miałem w domu nabity rewolwer. Żona w pierwszych dniach po

zamieszkaniu u mnie wielce się tym rewolwerem interesowała, wypytywała mnie i nawet wyjaśniała jej mechanizm, i wtajemniczyła w działanie, i w końcu namówiłem ją, by raz wystrzeliła do celu. Proszę to wszystko zapamiętać. Nie zwracając uwagi na jej wystraszoną minę, na pół rozebrany położyłem się do łóżka. Byłem ogromnie osłabiony. Dochodziła jedenasta. Ona nadal siedziała na tym samym miejscu, bez ruchu, jeszcze bez mała godzinę, następnie zdmuchnęła świecę i — również nie rozebrana — położyła się na kanapie przy ścianie. Po raz pierwszy nie ze mną, to także zechciejcie zauważyc...

## VI. Okropne wspomnienie

Kolej teraz na to okropne wspomnienie.

Obudziłem się rankiem — zdaje się po siódmej; w pokoju było już zupełnie jasno. Ocknąłłem się od razu — całkiem przytomny — i nagle otworzyłem oczy. Ona stała obok stołu i trzymała w rękach rewolwer. Nie wiedziała, że się obudziłem i że patrzę. Witem spostrzegam, że zaczyna się ku mnie zbliżać z tym rewolwerem w ręce. Spiesznie zamknąłem oczy, udając głęboko uśpionego.

Doszła do łóżka i stanęła nade mną. Słyszałem wszystko: chociaż zapanowała grobowa cisza,

przede słyszałem tę ciszę. Nagle wyczułem jakiś jej kurczowy ruch — niepowstrzymanie, mimo woli, oidemknąłem powieki: patrzyła mi prosto w oczy, a rewolwer znajdował się tuż przy mojej skroni. Spojrzenia nasze spotkały się. Ale patrzyliśmy na siebie zaledwie chwilę. Zmusiłem się do zamknięcia oczu i w tymże momencie — całą siłą woli — postanowiłem, że już się więcej nie poruszę i nie rozewrę powiek — cokolwiek mnie czeka.

Rzeczywiście zdarza się, że ktoś pograżony w głębokim śnie nagle odmyka oczy, nawet na chwilę unosi głowę i rozgląda się po pokoju, i zaraz potem, straciwszy świadomość, znowu kładzie głowę na poduszkę i zasypia, nic nie pamiętając. Otóż kiedy zetknąwszy się z jej spojrzeniem i poczuwszy lufę rewolweru przy skroni szybko zamknąłem ponownie oczy, nie poruszając się, jak gdybym spał głęboko, ona z pewnością mogła przypuścić, że ja naprawdę śpię i że nie widziałem nic, zwłaszcza że byłoby wręcz nieprawdopodobne, abym zobaczywszy to, co zobaczyłem, w takim momencie ponownie zamknął oczy.

Tak, to było nieprawdopodobne! Ale jednak mogła być także odgadnąć prawdę — to mi właśnie w owej chwili przemknęło przez myśl. Och, jakiż wicher myśli i doznań zakłębili się we mnie! Pochwalona niechaj będzie elektryczność myśli

człowieczej! W takim wypadku (tak to wyczułem), jeżeli odgadła prawdę i wie, że nie śpię — to już ją zmiażdżyłem tą swoją godnością poniesienia śmierci i dłoń jej może zadrżeć. Dawne zdecydowanie może runąć w zetknięciu się z tym nowym doznaniem. Powiadają, że fciedy się stoi gdzieś wysoko, coś nas jak gdyby ciągnie w dół, w przepaść. Myślę, że do niejednego samobójstwa albo zabójstwa doszło jedynie dlatego, że rewolwer był już w ręce. Tutaj także bezdeń, pochyłość czterdziestopięciostopniowa, z której niepodobna się nie stoczyć, i coś nas nieodparcie skłania do spuszczenia kurka. Jednakże świadomość, żem wszystko widział, że wiem wszystko i w milczeniu oczekuję śmierci, którą mi zada — ta świadomość mogła była ją powstrzymać na pochyłość.

Cisza przeciągała się i nagle przy skroni, u nasady włosów, poczułem chłód stali. Spytacie: czy miałem niezłomną nadzieję ocaleć? Odpowiem jak przed Bogiem: nie miałem żadnej nadziei oprócz chyba jednej szansy na sto.

Czemu godziłem się na śmierć? Odpowiem pytaniom: a po cóż mi było żyć z chwilą, gdy uwielbiana istota przytknęła mi do skroni rewolwer? Nadto wiedziałem — byłem tego świadom całą mocą mego jestestwa — że w tym momencie odbywa się między nami walka, straszliwy pojedynek na śmierć i życie, pojedynek owego właśnie

wczorajszego tchórza za małoduszność wypędzonego przez swych towarzyszów. Wiedziałem to i ona to wiedziała — jeśli tylko odgadła prawdę, że nie śpię.

Może zresztą tak nie było, może wtedy nawet tak nie rozumowałem, ale przecież to wszystko musiało tak być — niechby i bez tych myśli — ponieważ później w każdej godzinie swego życia właśnie o tym tylko myślałem.

Lecz gotowicie zapytać: czemu to nie uchroniłem jej od popełnienia występu? Och, ja sobie sam później po tysiąckroć to pytanie zadawałem za każdym razem, gdy przejęty dreszem wspominałem ową sekundę. Ale moja dusza tonęła w mroku rozpaczli: ginałem, sam ginałem; kogóż — tedy byłbym mógł ratować? No i skąd wiecie, czy kogokolwiek ratować wtedy chciałem? Skąd można wiedzieć, co wtedy mogłem odczuwać?

Świadomość jednak kipiała; mijały sekundy, trwała martwa cisza; ona wciąż stała nad mną — i oto nagle drgnąłem, tknięty nadzieję. Spiesznie otworzyłem oczy. Jej nie ibyło już w pokoju. Wstałem z łóżka: zwyciężyłem — została pokonana na wieki!

Podszedłem do samowara. Herbatę podawano u nas zawsze w pierwszym pokoju, przy czym nalewała ją żona. Usiadłem za stołem w milczeniu i wziąłem podaną przez nią szklankę. Poupły-

wie pięciu minut spojrzałem na nią. Była okropnie blada, jeszcze hledsza aniżeli wczoraj, i patrzyła na mnie. I z nagła, z nagła, widząc, że na nią patrzę, blado uśmiechnęła się bladymi wargami z nieśmiały w oczach pytaniem. Widać jeszcze ma wątpliwości i medytuje: „czy on wie, czy nie, widział, czy też nie widział?” Obojętnie odwróciłem od niej wzrok. Po herbacie zamknąłem kasę, poszedłem na rynek i kupiłem żelazne łóżko oraz parawan. Po powrocie do domu kazałem łóżko postawić w sali i odgrodzić parawanem. To łóżko było przeznaczone dla niej, ale nic jej nie powiedziałem. Lecz ma widok tego łóżka zrozumiała bez słów, że „widziałem i wiem wszystko” i że nie ma już wątpliwości. Na noc zostałem rewolwer jak zwykle na stole. Ona w milczeniu położyła się do nowego łóżka: małżeństwo było rozerwane, ona „pokonana, ale nie ułaskawiona”. W nocy popadła w majaczenia, a rankiem dostała gorączki. Przeleżała całe sześć tygodni.

## Rozdział drugi

### 1. Sen dumy

Łukieria z miejsca oświadczyła, że mieszkać u mnie nie będzie i gdy tylko panią pochowają,

odejdzie. Modliłem się na klęczkach przez pięć minut, a chciałem się modlić przez całą godzinę, ale bez przerwy rozmyślam, rozmyślam, i gorzkie myśli wciąż się cisną, i głowa boli: jakże tu się modlić? Grzech tylko! Dziwne też, że mi się nie chce spać: kiedy przeżywamy wielkie, zbyt wielkie cierpienie, po pierwszych mocnych wybuchach ogarnia nas senność. Skazani na karę śmierci podobno w ostatnią noc śpią twardo. Tak też być powinno, to zgodne z prawami natury, bo inaczej by nie wytrzymali... Ległem na kanapie, ale nie zasnąłłem...

Przez sześć tygodni choroby doglądaliśmy jej dniem i nocą — ja z Łukierią oraz sprowadzona przeze mnie dyplomowana pielęgniarką. Pieniędzy nie szczędziłem i nawet rad byłem wydawać na nią. Wezwiałem doktora Schrödera i płaciłem mu po dziesięć rubli za wizytę. Gdy odzyskała przytomność — ukazywałam się przed nią rządziej. A zresztą po coż to opisywać? Kiedy już wstała z łóżka — to cichutko i w milczeniu usiadła w moim pokoju przy osobnym stole, który wtedy dla niej kupiłem... Tak, to prawda, trwałyśmy w zupełnym milczeniu, to jest później zaczeliśmy nawet mówić, tyle że jedynie o sprawach powszednich. Ja, ma się rozumieć, wypowiadałem się lakonicznie, ale doskonale zauważałem, że i jej dogadzała małomówność. Wydało mi się to z jej strony całkiem naturalne. „Jest zbyt

wstrząśnięta i dostatecznie pokonana — rozumowałem. Trzeba koniecznie pozwolić jej zapomnieć i przywyknąć". Tak tedy milczeliśmy oboje, ale ja wciąż się przygotowywałem wewnętrznie na spotkanie przyszłości. Sądziłem, że i w niej dzieje się to samo i ogromnie mnie intrygowało odgadywanie: o czym też teraz myśli?

Dodam jeszcze: och z pewnością nikt nie wie, com przecieriał lamentując nad nią podczas tej choroby. Lecz te lamenty dławiliem w piersi kryjąc się z nimi nawet przed Łukierią. Nie mogłem sobie wyobrazić, nawet przypuścić nie mogłem, żeby ona miała umrzeć nie dowiedziawszy się wszystkiego. Kiedy zaś niebezpieczeństwo minęło i zaczęła powracać do zdrowia — nader szybko, pamiętam, uspokoiłem się. Nie dość na tym: postanowiłem odłożyć naszą przyszłość na możliwie daleki termin, a na razie wszystko pozostawić w nie zmienionym kształcie. Tak, zaszło wtedy we mnie coś osobliwego, niesamowitego, mie potrafię tego inaczej określić: zatriumfowałem — i-to poczucie okazało się dla mnie całkowicie zadowalające. No i tak upłynęła zima. Och, byłem zadowolony jak nigdy dotychczas — i to przez całą zimę.

Bo widziecie: w moim życiu była jedna zewnętrzna okoliczność, która aż do chwili obecnej, to znaczy aż do samej katastrofy z żaną, co dzień i o każdej godzinie uciskała mnie, mianowicie

utrata reputacji i owo opuszczenie pułku. Mówiąc krótko: tyrańska niesprawiedliwość, jaka mnie spotkała. Wprawdzie koledzy nie lubili mnie z powodu mego ciężkiego, a może też śmieszego charakteru, choć przecie nieraz tak bywa, że to, co dla nas jest wzniósłe, święte i czcigodne — razem, nie wiedzieć czemu, śmieszy naszych towarzyszy. Ach, nie lubiano mnie nawet w szkole. Wszędzie i zawsze byłem nie lubiany. Nawet Łukieria nie może się do mnie przekonać. Owa zaś sprawa w pułku — chociaż była wynikiem antypatii względem mnie — miała charakter niewątpliwie przypadkowy. Zaznaczam to dlatego, że nic tak nas nie boli i nie gnębi "jak to, kiedy padamy ofiarą przypadku, który mógł się zdarzyć albo i nie zdarzyć, wskutek fatalnego zbiegu okoliczności, który mógł nas ominąć niczym chmura. Dla istoty rozumnej stanowi to poniжение. A zdarzenie było następujące:

W teatrze, podczas antraktu, zaszedłem do bufetu. Huzar A-w, wszedłszy nagle, wszczęła w obecności znajdujących się tam oficerów głośną rozmowę z dwoma kolegami-huzarami, opowiadając, jak to w kuluarach kapitan naszego pułku Biezmcew przed chwilą wywołał skandal i że „wygląda na pijanego". Rozmowa rychło się urwała, bo i sama wiadomość była błędna, gdyż kapitan Biezmcew nie był pijany, i skandal w gruncie rzeczy nie okazał się skandalem. Huzarzy poczęli

rozmawiać na inne tematy, no i incydent się skończył; aliści nazajutrz plotka dotarła do naszego pułku i zaraz zaczęto gadać, że z naszego pułku znalazłem się tam tylko ja jeden, i że kiedy huzar A-w wyraził się obraźliwie o kapitanie Biezymcewie, nie podszedłem do A-wa, by go odpowiednim wystąpieniem poskromić. Ale po cóż miałem to uczynić? Jeżeli żywił urazę do Biezymcowa, była to ich osobista sprawa: czemuż miałbym się do tego mieszać? Tymczasem oficerowie doszli do przekonania, że nie była to sprawa osobista, lecz zahaczająca także o pułk, a że z oficerów tego pułku byłem na placu tylko ja — tym samym dowiodłem wszystkim obecnym w bufecie oficerom i-cywicom, że w naszym pułku trafiają się oficerowie niezbyt wrażliwi na punkcie własnego i pułkowego honoru. Na taką interpretację nie chciałem przystać. Wtedy dano mi do zrozumienia, że mogę jeszcze wszystko, naprawić, jeżeli przynajmniej teraz — lubo trochę późno — zgodzę się zażądać od A-wa formalnych wyjaśnień. Na to się nie zgodziłem, a tak byłem rozdrażniony, że odmówiłem z dumą. Po czym niezwłocznie złożyłem podanie o dymisję. Oto cała sprawa. Wyszedłem z niej z godnością, niemniej wszakże wewnętrznie zdruzgotany, z roztrzęsioną wolą i umysłem. A wtedy właśnie zdarzyło się, że mąż mojej siostry w Moskwie przetrwonił nasz skromny majątek — włącznie z moją mizerną

częstką — tak iż znalazłem się bez grosza przy duszy na bruku. Miałem wprawdzie możliwość pójścia na prywatną posadę, ale nie uczyniłem tego: zaszczytnego munduru nie chciałem zamienić na jakąś kolejarską bluzę. No i — jak wstyd to wstyd, jeśli hańba to hańba, skoro upadek, niechaj będzie upadek i im gorzej, tym lepiej — oto co wybrałem. Nastąpiło trzylecie ponurych przeżyć i nawet pobyt w przytułku -Wiaziemskiego. Półtora roku temu umarła w Moskwie bogata staruszka, moja chrzestna matka, i nieoczekiwane wśród innych zapisów znalazło się w jej testamencie i dla mnie trzy tysiące rubli. Po krótkim namyśle zadecydowałem wtedy o swoich losach. Postanowiłem założyć prywatny lombard, nie zabiegając o łaskę bliźnich: pieniądze, potem własny kat i... nowe życie, z dala od dawnych wspomnień. Oto był mój plan. Ale ciemna przeszłość i na zawsze zepsuta opinia dręczyły mnie nieustannie. No i wtedy ożeniłem się. Przypadkiem czy nie — nie wiem. Tyle tylko, że wprowadzając ją do swego domu sądziłem, że wprowadzam przyjaciela, a właśnie przyjaciel był mi nade wszystko potrzebny. Ale rozumiałem dobrze, iż tego przyjaciela należy przysposobić, urobić i wręcz ujarzmić. A czyż cokolwiek z tego mogłem tak z miejsca wyłożyć tej uprzedzonej, do mnie szesnastolatce? Jakże bym na przykład potrafił — bez przypadkowej pomocy, jaką mi ze-

słała owa straszliwa scena z rewolwerem — przekonać ja, że nie jestem tchórzem i że w pułku niesprawiedliwie zarzucano mi tchórzostwo? Ale katastrofa nastąpiła w porę. Wytrzymawszy groźbę rewolweru, wziąłem odwet za całą swoją ponurą przeszłość. I chociaż nikt o tym nie myślał, wiedziała to ona — a to było dla mnie wszystkim, gdyż ona sama wszystkim dla mnie była, całą nadzieję moich rojeń o przyszłość! Ona była jedynym człowiekiem, którego hodowałem dla siebie, a innych nie potrzebowałem — i oto dowiedziała się wszystkiego: tego w każdym razie, że niesłusznie postąpiła przystając do moich wrogów. Upajałem się tą myślą. W jej oczach nie mogłem już być nikczemnikiem, mogła mnie tylko uważać ot za... dziwaka; ale i ta myśl teraz, po wszystkim, co zaszło, wcale mi nie była przykra: dziwność nie jest grzechem, lecz przeciwnie, niekiedy podbija kobiecą naturę. Jednym słowem, rozmyślnie odsunąłem podsumowanie: to, co się dokonało, wystarczało aż nadto dla mojego spokoju oraz zawierało zbyt wiele obrazów i tworzywa dla moich marzeń. W tym właśnie selc, że jestem marzycielem; miałem sam materiał pod dostatkiem, o niej zaś myślałem: że poczeka.

Tak minęła zima — w jakimś czegoś tam oczekiwaniu. Lubiłem ukradkiem przyglądać się jej, siedzącej przy swoim stoliku. Zajmowała się szy-

ciem, naprawą bielizny, a czasem wieczorami czytała książkę, które brała z mojej szafy. Dobór tych książek również powinien był przemawiać na moją korzyść. Nie wychodziła prawie nigdzie. Po obiedzie, przed zapadnięciem zmierzchu, wyrowadzałem ją co dzień na przechadzkę; odbywaliśmy te spacery już mie, jak dawniej, w całkowitym milczeniu. Ja mianowicie dokładałem starań, aby wyglądało, że rozmawiamy zgodnie, ale, jak już wspomniałem, oboje baczliśmy, żeby się raczej zbyt szeroko nie rozwodzić. Ja czyniłem to umyślnie, przy czym uważałem, że jej należy koniecznie „dać czas”. Jtfią się rozumieć, dziwne to, iż przez całą zimę ani razu nie przyszło mi na myśl, że lulbię ukradkiem się jej przyglądać, a przez całą zimę nie pochwyciłem ani jednego jej spojrzenia skierowanego ku mnie! Przypisywałam to jej nieśmiałości. Zwłaszcza że po chorobie miała tyle lękliwej pokory, tyle bezsiły. Nie, lepiej poczekaj i — „i nagle sama do ciebie podejdzie...”

Ta myśl zachwycała mnie nieodparcie. Dodam jeszcze jedno: niekiedy jakby naumyślnie sam się rozdrażniałem i rzeczywiście doprowadzałem się do tego, iż, rzekłoby się, żywilem do niej urażę. I tak się to ciągnęło przez jakiś czas. Ale nienawiść nigdy nie mogła dojrzeć i ugruntować się w mej duszy. Sam przy tym czułem, że to tylko jakąś gra. Ależ i wtedy nawet, chociaż rozerwa-

łem nasze małżeństwo, kupiwszy łóżko i parawan — nigdy wszakże, nigdy nie potrafiłem spojrzeć na nią jako na zbrodniarkę. I mie dlatego, żem niepoważnie osądził jej przestępstwo, lecz dlatego, że zamierzałem przebaczyć jej całkowicie od pierwszego dnia, jeszcze nawet zanim kupiłem to łóżko. Słówem, jest to u mnie osobliwe, albowiem mam surowe zasady moralne. Poza tym w moich oczach ona była tak pogiębiona, tak upokorzona, tak zmiażdżona, żem się nad nią chwilami boleśnie litował, aczkolwiek przy tym wszystkim wyraźną przyjemność sprawiała mi myśl o jej poniżeniu. Podobało mi się poczucie naszej nierówności...

Owej zimy zdarzyło mi się rozmyślnie spełnić kilka dobrych uczynków. Dwu klientom umorzyłem należności, jakiejś ubogiej kobiecie wypłaciłem pieniądze bez żadnego zastawu. I nie powiedziałem o tym żonie — a uczyniłem to wcale nie po to, żeby się o tym dowiedziała, tylko owa kobiechina sama przyszła dziękować nieomal na klęczkach. W ten sposób rzecz wyszła na jaw; wydało mi się, że wiadomość o tej sprawie moja żona przyjęła z zadowoleniem.

Ale nadciągała wiosna, była już połowa kwietnia, z okien wyjęto podwójne szyby i słońce jeło jasnymi wiązkami promieni rozświecać nasze głuche pokoje. Lecz zasłona wisiała nad mną i zaciemniała mi oczy. Złowieszcza, straszliwa za-

słona. Jak to się stało, że raptem spadła z moich oczu i żem nagle przejrzał, i wszystko zrozumiał? Czy stało się to przypadkowo, czy dzień taki nadszedł szczególny, czy promień słoneczny rozniecił myśl i domysł w mojej otępialej głowie? Nie, nie myśl, nie domysł tu zabłysnął, lecz z nagła zadrgała jedna żyłka, z dawną zamarła, zadrgała i ożyła, i olśniła całą moją otępiątą duszę. Wtedy zupełnie jakbym nagle zerwał się z miejsca... Bo też wydarzyło się to nagle i niespodzianie. A wydarzyło się to po obiedzie, pod wieczór, około godziny piątej.

## II. Zasłona nagle opadła

Dwa słowa wstęp. Już od miesiąca spostrzegłem w niej osobliwe zadumanie — nie tyle milkliwość, ile jakieś zamyślenie. To także stwierdziłem nagle. Siedziała wtedy nad robotą, z głową pochyloną, i nie wiedziała, że na nią patrzę. I oto zdumiało mnie, że stała się tak szczuplutka, wychudzona; twarzyczka pobladła, wargi zbleialiły, wszystko to razem, w połączeniu z zadumą, od razu wielce mnie zafrapowało. Już i dawniej słyszałem jej drobny suchy kaszel, szczególnie po nocach. Natychmiast wstałem i, nic nie powiedziawszy, poszedłem zamówić wizytę doktora Schrödera.

Zjawił się nazajutrz. Ona mocno się zdziwiła, spoglądając to na lekarza, to na mnie.

— Ależ jestem zdrowa — rzekła z niewyraźnym uśmiechem.

Schröder zbadał ją nie nazbyt dokładnie (ci lekarze bywają niekiedy lekceważąc niedbali) i w drugim pokoju zakomunikował mi tylko, że to pozostałość po przebytej chorobie i że na wiosnę warto by wyjechać gdzieś nad morze albo, jeżeli to niemożliwe, po prostu na podmiejskie letnisko. Słowem, nic nie powiedział prócz tego, że skonstatował osłabienie czy coś tam takiego. Po jego odejściu żona, patrząc na mnie z ogromną powagą, powtórzyła:

— Jestem zupełnie zdrowa.

Po tych słowach jednakże raptownie się zarumieniła, najwidoczniej ze' wstydu. Ach, teraz rozumiem: wstyd jej było, że ja — będąc jeszcze jej mężem — troszczę się o nią tak, jak gdybym był nim faktycznie. Ale wtedy nie zrozumiałem i rumieniec przypisałem pokorze. (Zasłona!)

I oto w miesiąc później, o godzinie piątej, w jasny słoneczny dzień kwietniowy siedziałem przy kasie, sprawdzając rachunki. Wtem słyszę, że ona — tam obok, w naszym pokoju, przy swym stoliku z robótką — cichutko zaśpiewała. Nowość ta wywarła na mnie wstrząsające wrażenie i do dziś nie potrafię tego pojąć. Dotychczas prawie nigdy

nie słyszałem jej śpiewu, chyba tylko może w pierwszych dniach, gdym ją był wprowadził do swego domu i kiedy jeszcze mogliśmy zabawiać się strzelaniem do celu z rewolweru. Wtedy głos miała jeszcze dosyć silny, acz niezbyt pewny w intonacji, ale za to niezwykle miły i zdrowy. Teraz zaś piosenka brzmiała tak słabutko — och, nie szczególnie żałosliwie (był to jakiś romans), ale, rzekłbyś, głos był jakiś nadpęknięty, złamany, jak gdyby ten głosik nie mógł dać sobie rady, jak gdyby sama piosenka była chora. Żona nuciła i oto raptorem na wysokiej nucie głos jej się oberwał — taki wątły był ten głosik, tak smętnie opadł; odkaszlnęła i znów cichutko zaśpiewała...

Moje wzruszenia wydadzą się śmieszne, ale nikt nigdy nie zrozumie, czemu się przejąłem! Nie, jeszcze się nad nią nie litował, to było coś całkiem innego, początkowo, przynajmniej w pierwszych minutach, wystąpiło nagłe zmieszananie i straszliwe zaskoczenie, straszne i niesamowite, bolesne i nieomal mściwe: „Śpiewa, i to przy mnie! Zapomniała o mnie, czy co?”

Wstrząśnięty do głębi trwałem na miejscu, potem nagle wstałem, nałożyłem kapelusz i wyszedłem jak błędny. W każdym razie nie wiem po co i dokąd. Łukieria podała mi palto.

— Śpiewa? — spytałem mimowolnie. Łukieria

patrzyła na mnie, nie pojmując o co chodzi. Bo też istotnie nie sposób było mnie zrozumieć.

— Pierwszy raz śpiewa?

— Nie, kiedy pana nie ma, czasem śpiewa.

Pamiętam wszystko. Zszedłem po schodach, znalazłem się na ulicy i ruszyłem bez celu przed siebie. Przystanąłem na rogu i rozejrzałem się wokoło. Mijano mnie, potrącano; nie czułem nic. Skinąłem na dorożkarza i kazałem się zawieźć — nie wiem po co — na Policejskij Most; potem nagle zrezygnowałem i rzuciłem mu dwudziestokopiejkówkę.

— Masz tu za fatygę — powiedziałem śmiejąc się do niego bezmyślnie, ale serce wezbrało mi jakimś nagłym zachwyceniem.

Przyśpieszywszy kroku, wróciłem do domu. Nadpęknięta żałosna, urwana nutka raptorem znowu zadźwięczała w mej duszy. Brakło mi tchu. Opadała, opadała z oczu zasłona! Skoro przy mnie zaśpiewała — snadź zapomniała o mnie, oto co było jasne i straszne. To czuło moje serce. Jednak w duszy promieniał zachwyt przemagając trwogę.

O ironio losu! Wszak nic innego nie było i nie mogło być w mojej duszy — prócz owego właśnie zachwytu, tylko gdzież ja sam byłem w ciągu owej zimy? ATBOŻ to byłem ja?

Wbiegłem po schodach w wielkim pośpiechu; nie wiem, czym wszedł nieśmiało... To tylko pa-

miętam, że podłoga zdawała się falować, a ja jak gdybym płynął po rzece. Wszedłem do pokoju: siedziała na tym samym miejscu, pochyliwszy głowę, ale już nie śpiewała. Zerknęła ku mnie przelotnie i bez zaciekania; lecz nie było to nawet spojrzenie — ot, jedynie odruch, zwykły i obojętny, kiedy ktokolwiek wchodzi do pokoju.

Podszedłem wprost do niej i usiadłem obok na krześle; byłem jak niespełna rozumu. Ona obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem, jakby przeląkłszy się; ująłem jej dłoń i nie pamiętam, co powiedziałem, to jest, co chciałem powiedzieć, gdyż nie byłem zdolny mówić dorzecznie. Głos mi się załamywał i odmawiał posłuszeństwa. A zresztą nie wiedziałem, co powiedzieć, i tylko krztusiłem się.

— Porozmawiamy... wiesz... powiedz cokolwiek! — nagle wybąkałem głupawo; och! alboż mi w głowie były mądrości? Ona znowu drgnęła i odsunęła się, mocno wystraszona spojrzała na moją twarz, lecz nagle w jej oczach odmalowało się surowe zdziwienie. Tak, zdziwienie, surowe. Patrzyła na mnie rozszerzonymi oczyma. Ta surowość, to surowe zdziwienie, z miejsca mnie zdruzgotały: „Więc chcesz jeszcze miłości? Miłości?” — wystąpiło w tym jej zdziwieńiu pytanie, chociaż trwała w milczeniu. Lecz ja wszystko odczytałem. Zatrząśleś się cały i przypadłem do jej nóg. Tak, runąłem do jej nóg. Po-

derwała się gwałtownie, ale bardzo mocno przytrzymałem jej obie ręce.

I pojmowałem, ach, pojmowałem w pełni własną rozpacz! Ale czy uwierzycie? — uniesienie kipiało w mym sercu tak nieodparcie, iż myślałem, że umrę. W upojeniu i szczęściu całowałem jej stopy. Tak, w szczęściu bezmiernym i bezgranicznym — a zarazem ze świadomością całej beznadziejności mej rozpaczy! Płakałem. Mówiłem coś ale nie mogłem mówić. W niej lęk i zdumienie nagle ustąpiły miejsca jakiemuś zatroskaniu, jakimś niesamowitym pytaniom; patrzyła na mnie dziwnie, nawet dziko, usiłowała coś czym przedzej pojąć i uśmiechnęła się. Ogromnie była zażenowana, że całuję ją po nogach i usuwała je, lecz ja wtedy całowałem to miejsce na podłodze. Widziała to i ze wstydu nagle zaczęła się śmiać (wiecie, jak to bywa, że ktoś śmieje się ze wstydu); nadciągał wybuch histerii, widziałem, jak drgają jej ręce — i nie myślałem o tym, i wciąż bełkotałem, że ją kocham, że nie wstanę i: „pozwól mi całować twoją sukienkę... tak, przez całe życie modlić się do ciebie...” Nie wiem, nie pamiętam — nagle ona zatrzasnęła się i wybuchnęła łkaniem: nastąpił okropny atak histerii wywołany przerażeniem, jakie w niej wzbudziłem.

Przeniosłem ją na łóżko. Kiedy atak minął, przysiadła na krawędzi i — z wyrazem ogrom-

nego przygnębienia — schwyciła obie moje dlonie prosząc, bym się uspokoił.

— Zapanuj nad sobą, nie męcz się, weź się w garść! — i znowu w płacz.

Nie opuściłem jej w ciągu całego owego wieczora. Wciąż jej mówiłem, że zawiozę ją do Boulogne \*, żeby się kąpała w morzu, teraz, zaraz, za dwa tygodnie, że ma taki nadpęknięty głosik, słyszałem przecie?... że zlikwiduję kasę, sprzedam Dobronrawowowi, że zaczniemy wszystko na nowo, a przede wszystkim do Boulogne! Słuchała wciąż załekniona. Bała się jeszcze bardziej. Ale ja nie tym byłem najgłębiej przejęty, lecz tym, że coraz mocniej odżywało we mnie nieustęplicze pragnienie leżenia u jej nóg i znów chciałem całować, całować miejsce, gdzie stoją jej nogi, i modlić się do niej, i „nic ponadto, nic od ciebie nie zażadam” powtarzałem co chwila. Nic mi nie odpowiadaj, nie zauważaj mnie wcale i pozwól tylko z ubocza patrzeć na ciebie, uczyń mnie swoją rzeczą, pieskiem...

Płakała.

— A ja • myślałam, że zostawisz mnie tak — wymknęło się jej z nagła mimo woli — tak dalece mimo woli, że może zgoła nie spostrzegła, kiedy to powiedziała, gdy tymczasem — och!, to była najważniejsza, najbardziej roz-

\* Boulogne-Sur-Mer — miejscowości nadmorska w północno-zachodniej Francji.

strzygająca i najbardziej dla mnie zrozumiała wypowiedź, która mnie niby nożem dźgneła w serce! Te słowa wszystko mi wyjaśniły, lecz dopóki miałem ją tu obok, przed oczyma, żywilem niezłomną nadzieję i byłem niezmiernie szczęśliwy. Ach, okrutnie znużyłem ją owego wieczora, zdałem sobie z tego sprawę, ale nieustannie sądziłem, że wszystko natychmiast przekształcię. Wreszcie, z nadaniem nocy, osłabła ostatecznie; wtedy namówiłem ją, by zasnęła — i z miejsca zapadła w głęboki sen. Przewidywałem malignę i rzeczywiście wystąpiła, chociaż bardzo lekka. W nocy niemal co chwila wstawałem, cichutko, w pantoflach podchodziłem, żeby na nią patrzeć. Załamywałem nad nią ręce, patrząc na tę chorą istotę na lichym żelaznym łóżeczkuku (które dla niej kupiłem za trzy ruble). Klękałem przed nią, ale nie śmiałem całować jej nóg (bez jej wiedzy!), gdy spała. Próbowałem modlić się do Boga, lecz się znów zrywałem. Łukieria coraz wychodziła z kuchni i przyglądała mi się. Wstąpiłem do niej i powiedziałem, żeby się położyła, i że jutro zacznie się „całkiem coś innego”.

I wierzyłem w to, wierzyłem ślepo, szaleńczo. Ach, tonałem w zachwycie, w upojeniu! Wyczekiwałem tylko tego jutra. Przede wszystkim — wbrew wszelkim symptomatom \* — nie obawiałem

\* Symptomat — objaw, oznaka.

się żadnego nieszczęścia. Nie odzyskałem w pełni rozeznania — chociaż zasłona spadła mi z oczu — i to rozeznanie długo, długo nie powracało, och, aż do dziś, aż do dzisiejszego dnia! Bo też jak mogło powrócić: przecież ona wtedy jeszcze żyła, była tuż przede mną, a ja byłem przed nią: „Jutro się obudzi, a ja jej wszystko powiem i ona wszystko zobaczy”. Oto moje ówczesne rozumowanie — proste i jasne — stąd to upojenie! Najważniejszą sprawą była owa podróż do Boulogne. Nie wiedzieć czemu wciąż myślałem, że Boulogne — to wszystko, że w Boulogne zawiera się coś ostatecznego: „Do Boulogne, do Boulogne!” Obłędnie oczekiwałem ranka.

### III. Zbyt wiele rozumiem

A przecież to nastąpiło zaledwie przed kilku dniami, przed pięcioma, wszystkiego pięcioma dniami — w ubiegły wtorek! Nie, nie, gdyby jeszcze tylko trochę czasu, gdyby jeszcze chociaż odrobinę odczekała... byłbym rozproszył mrok! Czyż się bowiem nie uspokoiła? Wszak zaraz na jutrz — mimo zmieszania — słuchała mnie z uśmiechem... Sedno właśnie w tym, że przez cały ten czas, w ciągu pięciu dni, była zmieszana i zawstydzona. Bała się także, bardzo się bała.

Ja się nie spieram, nie myślę zaprzeczać jak wariat: była wystraszona, ale czyż mogła się nie lękać? Przecież od tak dawna staliśmy się sobie obcy wzajem, takeśmy odwykli jedno od drugiego — a tu raptem to wszystko... Ale nie dostrzegałem jej trwogi, nowość promieniowała!... To prawda, prawda bezsporna, żem popełnił błąd. I może nawet sporo błędów. Ot, ledwo zbudziwszy się, zaraz z samego ranka (to było w środę) popełniłem omyłkę: z miejsca uczyniłem ją swym przyjacielem. Pośpieszyłem się, zanadto się pośpieszyłem, ale przecież spowiedź była potrzebna, niezbędna — co mówię: więcej aniżeli spowiedź! Nie zataiłem nawet tego, co wręcz sam przed sobą ukrywałem. Otwarcie wyznałem, żem przez całą zimę o tym jednym tylko myślał, że byłem przeświadczony, iż mnie kocha. Wyjaśniłem jej, że kasa pożyczkowa była jedynie następstwem upadku mojej woli i umysłu, samoudręczenia i samochwałby. Wytłumaczyłem jej, że wtedy w bufecie rzeczywiście stchorzyłem; winna temu moja natura, moja podejrzyłość: wstrząsnęły mną okoliczności, to otoczenie, ten bufet, myśl: jakże tak z nagła wystąpię, czy to nie wypadnie głupio? Stchorzyłem nie przed pojedykiem, tylko przed myślą: czy to nie wypadnie głupio... A potem... to już nie chciałem się przyznać, no i dręczyłem wszystkich, i ją też zadręczałem, aż się z nią ożeniłem, żeby ją za to dręczyć. W ogó-

le mówiłem przeważnie jak w gorączce. Ona sama brała mnie za ręce i prosiła, abym przestał:

— Przesadzasz... zamęczasz się! — i znówaczynały się łkania, znowu groziły ataki nerwowe! Ustawicznie prosiła, żeby o tym wszystkim nie mówił i nie wspominał.

Ja na te prośby nie zwracałem uwagi wcale albo prawie wcale: wiosna, Boulogne, Boulogne! Tam słońce, tam nowe nasze słońce — o tym tylko mówiłem. Zamknąłem kasę, sprawy przekazałem Dobronrawowowi. Nagle zaproponowałem jej, że wszystko rozdamy ubogim oprócz kapitału podstawowego, owych trzech tysięcy odziedziczych po chrzestnej matce, za które pojechaliśmy do Boulogne, a potem wrócimy i rozpoczniemy nowe pracowite życie. Tak też zdecydowaliśmy — ponieważ ona nie powiedziała nic... Tylko się uśmiechnęła. I bodaj uśmiechnęła się raczej przez delikatność, nie chcąc mnie zasmucić. Toż wiedziałem, że jej ze mną ciężko, nie myślisz, że byłem aż takim głupcem i takim egoistą, żeby tego nie widzieć. Wiedziałem wszystko, wszystko, do ostatniego drgnienia, wiedziałem i wiedziałem lepiej od kogokolwiek; cała moja desperacja była widoczna.

Opowiadałem jej wszystko o sobie i o niej. I o "Łukierii. Mówiłem, żem płakał... Och, zmieniałem ton rozmowy, ja też starałem się nie poruszać wcale niektórych tematów. I ona przecież

ożywiła się raz czy drugi, ja to pamiętam, pamiętam! Czemuż, powiadacie, żem patrzał na wszystko i nic nie widział? I gdyby tylko tamto się nie zdarzyło, toby odżyło wszystko. Wszak jeszcze dwa dni przedtem, kiedy rozmowa zatrąciła o lekturę i o to, co w ciągu tej zimy przeczytała — ona też mówiła i śmiała się wspominając dialog Gil Blasa z arcybiskupem Grenady \*. A był to taki dziecienny śmiech, przemiły, taki sam jak dawniej, za czasów narzeczeństwa (moment! mgnienie!). Jakże się cieszyłem! Zresztą zdziwiałem się ogromnie, słysząc ją wspominającą o arcybiskupie; snadź jednak znalazła w sobie tyle spokoju ducha i tyle szczęliwości, żeby się zaśmiewać nad literackim arcydziełem, siedząc ze mną w tym pokoju. Widać więc poczynała się już uspokajać całkowicie, w pełni zaczynała ufać, że ją pozostawię tak. „Myślałam, że zostawisz mnie tak” — oto były jej słowa wypowiedziane we wtorek! Ach, toż to była myśl dziesięcioletniej dziewczynki! I przecież wierzyła, że wszystko istotnie pozostanie tak samo: ona przy swoim stole, ja przy swoim — i tak oboje aż do

sześćdziesięciu lat. A tu raptem podchodzi do niej mąż i ten mąż pragnie miłości! Ach, co za nieporozumienie, jakaż moja ślepota!

Błądem także było to, żem patrzył na nią z zuchwytom: należało się opanować, gdyż zuchwyt budził lęk. Ale wszakżem się opanował, już jej nie całowałem po nogach. Ani razu nie okazałem, że... no, że jestem mężem — och, nawet w moich myślach tego nie było; ja się tylko modliłem. Jednakże niepodobna było przecież całkiem milczeć, nie sposób było nie mówić wcale! W pewnym momencie wyznałem, że rozkoszuję się rozmową z nią i że uważałem, iż ona stoi bez porównania wyżej ode mnie pod względem wykształcenia i kultury. Wtedy mocno się zaczerwieniła i zażenowana powiedziała, że przesadzam. Wtedy — niedorzecznie i nie mogąc się powstrzymać — opowiedziałem, w jakim byłem zachwycie, kiedy ukryty za drzwiami przysłuchiwał się pojedynkowi jej niewinności z tamtą kreaturą i jak podziwiałem jej rozum i błyskotliwość dowcipu w połączeniu z taką dziecięcą prostotą. Ona jak gdyby drgnęła, wybąkała coś tam znowu, że przesadzam, lecz nagle spochmurniała twarz zasłoniła dłońmi i załkała... Wtedy nie zdołałem się pohamować: znów przypadłem do jej nóg i jąłem okrywać ją pocałunkami, znów — jak we wtorek — skończyło się atakiem nerwowym. To było wczoraj wieczorem, a rankiem...

\* Bohaterowie klasycznej powieści francuskiej *Gil Blax* (przekład polski *Przypadki Idziego Blasa* ukazał się w 1950 r.). Autor jej Alain-René Lesage (1668–1747) pracował nad nią około dwudziestu lat (od 1715 do 1735 roku).

Rankiem! Szaleńcze, wszak ten ranek nadszedł dzisiaj dopiero co, tylko co...

Posłuchajcie i zechciejcie rozważyć! Przecież kiedyśmy się zeszli przy herbacie (po wczorajszym ataku), ona sama wstępco zadziwiła mnie swym spokojem, oto jak było! A tymczasem ja całą noc przetrwałem w lęku po wczorajszej scenie. Aliści oto nagle ona zbliża się do mnie i splótlszy dlonie powiada, że jest przestępczynią, że wie, co to znaczy, że pamięta tego przestępstwa dręczyła ją przez całą zimę i nadal teraz dręczy... Że ona zbyt wysoko ceni moją wielkoduszność...

— Będę ci wierną żoną, będę cię szanowała...

Wtenczas zerwałem się i jak szaleniec obijałem ją uściukiem! Całowałem, całowałem ją w usta, jak mąż, po raz pierwszy po naszej długotrwałej rozłące. I dlaczego — zaledwie tak niedawno temu — wyszedłem raptem na dwie godziny? Nasze paszporty zagraniczne... Ach, Boże! Niechbym tylko o pięć minut wcześniej wrócił, tylko o pięć minut!... A tu — ten tłum w naszej bramie, te zwrócone ku mnie spojrzenia... O, Boże!

Łukieria mówi (o, ja teraz za nic w świecie nie pozwolę jej odejść, ona będzie mi wszystko opowiadać), Łukieria mówi, że po moim wyjściu, a zaledwie w jakieś dwadzieścia minut przed powrotem, weszła nagle do pani — do naszego pokoju — żeby się, nie pamiętam już o co, zapytać, i zobaczyła, że obraz (ten sam obraz Matki

Boskiej) jest wyjąty i ustawiony na stole, i wygląda na to, że pani się właśnie przed nim modliła.

— Co też pani?

— Nic, Łukierio, idź. Czekaj no, Łukierio — podeszła i pocałowała mnie.

— Czy pani teraz szczęśliwa?

— Tak, Łukierio.

— Dawno — powiadam — powinien był pan przyjść przeprosić panią... Chwała Bogu, żeście się pogodzili.

— Dobrze, Łukierio, dobrze — powiada — idź już, Łukierio.

I uśmiechnęła się, ale tak jakoś dziwnie. Tak dziwnie, że Łukieria po dziesięciu minutach wróciła, żeby się jej przyjrzeć: „Stoi pod ścianą przy samym oknie, głowę wsparła na ręce, stoi ci tak i rozmyśla. A tak głęboko zamyślona, że mnie nie usłyszała, jak tam stoję i patrzę na nią z drugiego pokoju. Widzę, że się jaktią uśmiecha, stoi, myśli i uśmiecha się. Popatrzyłam ci na nią, obróciłam się cichutko, wyszłam i sama się także zamyśliłam... Wtem słyszę, że okno zostało otwarte. Zaraz poszłam przestrzec:

— Chłodno, żeby się pani nie zaziębiła...

A tu widzę, że weszła na parapet i cala tam stoi w otwartym oknie, odwrócona do mnie plecami, a w rękach trzyma obraz. Serce we mnie zamarło; wołam:

— Proszę pani, proszę pani!

Usłyszała, poruszyła się, jak gdyby miała się odwrócić do mnie, ale się nie odwróciła, tylko postąpiła krok naprzód, obraz przycisnęła do piersi i rzuciła się w dół!

To tylko pamiętam, że gdym wszedł do bramy, była jeszcze ciepła. A tu — wszyscy na mnie patrzą. Z początku coś tam wykrzykiwali, lecz nagle zamilkli i rozstępują się przede mną, a ona... ona leży z tym obrazem. Pamiętam jak skroś mgłę, że podszedłem ku niej w milczeniu i długo wpatrywałem się. Stała tam także Łukeria, a ja jej nie widziałem. Twierdzi, że mówiła do mnie. Zapamiętałem jedynie jakiegoś mieszkańców; wciąż powtarzał, że „tylko krzynka krwi wyciekła z ust, krzynka, krzynka!” i wskazywał mi tę krew — tuż obok, na kamieniu. Zdaje się, żem dotknął palcem, zaplamiłem palec, patrzę nań (to pamiętam, a ten mi wciąż: „Tylko krzynka, krzynka”.

— No więc 'co z tego, że krzynka? — ryknąłem podobno na cały głos, wzniósłem ręce i rzuciłem się na niego...

Och, szaleństwo, szaleństwo! Nieporozumienie! Nieprawdopodobieństwo! Niemożliwość!

#### IV. Spóźniłem się zaledwie o pięć minut

A czyż nie tak? Czy to prawdopodobne? Czy można powiedzieć, że to możliwe? Dlaczego, po co umarła ta kobieta?

Ach wierzcie mi, ja rozumiem: ale czemu umarła — to bądź co bądź zagadka. Przeraziła ją moja miłość, zastanowiła się poważnie: przyjąć ją, czy odrzucić? I nie wytrzymała tego pytania, i wolała umrzeć. Wiem, wiem, zbędne głowić się nad tym: dała zbyt wiele obietnic, złekła się, że ich dotrzymać nie zdoła — to jasne. Jest kilka okoliczności całkiem niesamowitych.

No bo dlaczego umarła? To pytanie bądź co bądź trwa. To pytanie stuka, stuka w moim mózgu... Byłbym ją przecie zostawił tak, gdyby zechciała, żeby tak pozostało. Ale nie uwierzyła w to, ot co! Nie, nie, kłamię: wcale nie to. Po prostu dlatego, że ze mną musiała postąpić rzetelnie: jeżeli kochać — to pełnią miłości, a nie tak jak kochałaby kupca. A że była zbyt prawa, zbyt czysta, by przystać na taką miłość, jakiej wymagał kupiec, tedy nie chciała mnie zwodzić. Nie chciała ludzić półmiłością imitującą miłość albo nawet ćwierćmiłością. Arcyuczciwe są niektóre kobiety, o tak! A ja jej chciałem zaszczepić pełnię serca, pamiętacie? Dziwaczny pomysł!

Ogromnie mnie ciekawi: czy mnie szanovała?

Nie wiem: gardziła mną, czy nie? Nie sądzę, żeby gardziła. Nader to osobliwe: dlaczego ani razu nie przyszło mi do głowy, że ona mną pogardza? Byłem jak najmocniej przeświadczony, iż jest przeciwnie — aż do tamtej chwili, kiedy spojrzała na mnie z surowym zdziwieniem. Właśnie: z surowym. Wtedy to w lot zrozumiałem, że ona mną gardzi. Zrozumiałem bezpowrotnie, na wieki! Och, niechby gardziła — chociażby przez całe życie — byleby żyła, byleby żyła! Dopiero co jeszcze chodziła, mówiła. Ani rusz nie pojmuję, że się rzuciła z okna! I skąd mogłem przypuścić — choćby na pięć minut przedtem? Zawołałem Lukierę. Ja teraz Łukierii nie odprawię za nic w świecie!

Och, mogliśmy jeszcze dojść do porozumienia. Ogromnie tylko odwykliśmy wzajem jedno od drugiego, ale czyliż nie można było na nowo się przystosować? Czemu, czemu nie mielibyśmy zbliżyć się, rozpocząć nowego życia? Ja jestem wielkoduszny, ona też — oto punkt styczności! Jeszcze tylko kilka słów, nie więcej niż dwa dni — wszystko by zrozumiała.

Najbardziej bolesne jest to, że to wszystko było przypadkiem, barbarzyńskim, prostackim przypadkiem. Oto klęska! Pięć minut — i moment przesunąłby się bokiem jak chmura i nigdy by jej to potem nie przyszło do głowy. I koniec byłby taki, że wszystko by zrozumiała. A teraz —

znowu puste pokoje, teraz znów samotność. Oto stuka wahadło, jemu nic do tego, jemu niczego nie żał. Nie ma nikogo — oto klęska!

Chodzę, wciąż chodzę. Wiem, wiem, nie odpowiadajcie: śmieszy was, że się Skarżę na przypadek i na pięć minut. Ale to przecież oczywiste. Rozważcie to tylko: nie zostawiła nawet kartki, że — tak a tak — „proszę nikogo nie winić z powodu mojej śmierci”, jak się zawsze rdbi. Alboż nie mogła się zastanowić nad tym, że może sprawić kłopot nawet Łukierii: „Sama przy niej byłaś, no i wypchnęłaś ją”. Co najmniej by ją niesłusznie obryzgano, gdyby nie to, że cztery osoby przez okna w oficynie widziały, jak stała z obrazem w rękach i jak sama wyskoczyła. Ale to przecie także przypadek, że ludzie stali i widzieli. Nie, to wszystko — moment, jeden tylko nieobliczalny moment. Raptowność i fantazja! Cóż stąd, że się modliła przed obrazem? To nie znaczy, że — przed śmiercią. Wszystko to trwało może ledwie dziesięć minut, cała decyzja — wtedy miałowicie, kiedy stała pod ścianą z głową przytuloną do dloni i uśmiechała się. Nawiedziła ją przelotna myśl, zawirowało jej w głowie, tak, tak... że się jej nie zdołała oprzeć.

To wyraźne nieporozumienie, mówcie, co chcecie. Ze mną jeszcze można by żyć. A jeżeli to niedokrwis-tość? >Po prostu z powodu anemii, z wy-

czerpania energii życiowej? (Zmęczyła się podczas owej zimy — ot co!

Spóźniłem się!!!

Jaka ona szczuplucha w trumnie, jak się wyostrzył kontur noska. Rzęsy leżą jak strzałki. I przecież, kiedy upadła, nic sobie nie zgruchotała, nie złamała. Tylko ta jedna „krzynka krwi”! Ot, łyżeczka deserowa. Wstrząs wewnętrzny. Dziwaczna myśl: gdyby można było jej nie pochować? Bo jeżeli ją wyniosą, to... och nie, to prawie niemożliwe. Och, wiem dobrze, że muszą ją wynieść, nie jestem obłąkańcem i wcale nie mówię od rzeczy, przeciwnie, nigdy nie rozumowałem jaśniej... ale jakże tak: znów nikogo w domu, znów dwa pokoje i znów ja sam jeden z kasą pożyczkową. Maligna, maligna, oto gdzie maligna! Zadręczyłam ją — oto prawda!

Cóż mnie, teraz obchodzą wasze paragrafy? Na co mi wasze normy, wasze obyczaje, wasze życie, wasze państwo i wasza wiara? Niechaj mnie sądzi ten wasz sędzia, niech mnie postawią przed waszym sądem, przed waszym jawnym trybunałem — a -powiem, że się do niczego nie przyznaję. Sędzia zawała:

— Proszę milczeć, oficerze!

A ja mu odkrzyknę:

— Gdzie znajdziesz teraz taką siłę, co mnie skłoni do posłuchu? Czemu ponury bezwład znisz-

czył to, co mi jest ponad wszystko drogie? Cóż mi teraz wasze prawa? Ja się wyłączam. Och, wszystko mi jedno!

Ślepa, ślepa, martwa, nie słyszy. Nie wiesz, jakim rajem byłbym cię otoczył! Raj był w mojej duszy, byłbym go roztoczył wokół ciebie! No cóż, ty byś mnie nie kochała — niech tam, i cóż z tego? Wszystko byłoby t a k s a m o. Opowiadałabyś mi tylko, ot, jak przyjacielowi — i dobrze by nam było, i śmialibyśmy się, pogodnie patrząc sobie wzajemnie w oczy. No i tak byśmy żyli. A gdybyś nawet pokochała innego — no trudno, niech tam! Chodziłabyś z nim, uśmiechnięta, a ja bym patrzył z drugiej strony ulicy... Och, niech tam, byleby tylko chociaż raz otworzyła oczy! Na jedno jedyne mgnienie! Żeby spojrzała na mnie ot tak, jak jeszcze tak niedawno, kiedy stała przede mną przysięgając, że będzie wierną żoną! Ach, w jednym spojrzeniu zrozumiałbym wszystko!

Martwota! Och, naturo! Ludzie są samotni na ziemi — w tym tragiczny. „Czy jest w polu żywego człowiek?” — woła rosyjski heros. Wołam i ja i — chociaż nie heros — i nikt się nie odzywa. Powiadają, że słońce żywia wszechświat. Wjezdzie słońce i — popatrzycie nań, czy to nie trup? Wszystko martwe i wszędzie trupy, samotni tylko ludzie, a wokół nich milczenie — oto świat! „Ludzie, miłujcie się wzajemnie” — kto to powie-

Spis treści

dział? Czyje to wezwanie? Stuka, stuka wahadło nieczule, dojmująco. Druga w nocy. Jej buciki stoją przed łóżeczkiem, rzekłbyś, że czekają na nią...

Nie, doprawdy, kiedy ją jutro wyniosą, co zmianą będzie?

Białe noce ( <i>Biełyje noczi</i> ). Tłum. Wł. Broniewski . . . . .	5
Łagodna ( <i>Krotkaja</i> ). Tłum. G. Karski . . . . .	97

Redaktor techn. Anna Bonislawka  
Korektorzy: Radomił Wójcik i Hanna Chęcińska

Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza  
„Pirasa-Książka-Ruch”,  
Wydawnictwo „Książka i Wiedza”  
Warszawa, 1986 r.  
Wyd. I. Nakład 199 680 + 350 egz.  
Ob], ark. wyd. 5,3. ObJ. ark. druk. 11.  
Papier offset m. gl. kl. V, TO g, rola 70 cm  
Oddano do składu 1S.III.138S r.  
Podpisano do druku w lutym 1986 r.  
Druk ukończono w marcu 1986 r.  
Zam. nr 1094-1S/85 N-71

Dwanaście tysięcy sto sześćdziesiąta szósta  
publikacja „KlW”